

# Kwiaty dla piętnastoletniej...

## odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok II  
Łódź, 22 lipca  
1959 roku

NR 30 (74)  
CENA 1 ZŁ

### DZIŚ W NUMERZE

CZYTAJ

OBYWATELE  
— WŁADZA — str. 6



Kot spada na  
cztery łapy — str. 7, 8



HALO  
Szanghaj  
Porto Rico  
Bombaj  
— tu,  
ŁÓDŹ  
str. 3 i 4



Korespondencja  
własna z Moskwy  
— str. 14



Jan Sztandynger  
o swoim  
dziadku  
— str. 12



Toast w szklan-  
kach po  
musztardzie  
— str. 10



Foto: M. Kozłowski, Warszawa

#### ZBIGNIEW CHYLIŃSKI

Zupełnie niepostrzeżenie lata 1944—1945, w naszym subiektywnym ich odczuwaniu, stały się historią. W takim sensie historia, jak powiedzmy, rok 1918 czy powstanie styczniowe, tyle, że trochę bliższe. Jeszcze niedawno traktowane były jako początek czegoś, co się dzieje współcześnie. Oczywiście są one początkiem czegoś, co się dzieje współcześnie, ale ów początek przestał być odczuwany jako współczesność, a zaczął być odczuwany jako historia.

Po części działał tu sam upływ lat. Choćby fakt, że pokolenie, które już nie pamięta owych czasów, wchodził lub wejść niebawem w okres dojrzałości życiowej. Czas sprawił, że zamazana została pamięć o owych latach. Kiedy ostatnio przeglądałem zszywkę ówczesnych gazet, które kiedyś czytałem przecież szukając

w nich bieżących doniesień prasowych, spostrzegłem, że nie pamiętam już faktów, że wydaje mi się, jakbym te gazety czytał po raz pierwszy.

Przed wszystkim jednak o „awansie” tamtych czasów w historię decyduje historyczność ówczesnych postaw ludzkich: politycznych, życiowych i wszelkich, ich nieprzymierzalność do postaw dzisiejszych.

Nie buntują ludzie, którzy by przetrwali swe postawy polityczne, poglądy na świat, wyobrażenia o świecie i społeczeństwie, życiowe pragnienia itp. w stanie niezmiennym w rok 1959. Nie znajdujemy tu odpowiedników. Co najwyżej pokrewieństwo. Oddając się pracy ryzykownej, wywodząc możemy z tamtych czasów rodowody postaw obecnych.

Moi najbliżsi, przeżywszy wojnę (a ówo prze- i wyższe przyszło im z niejakim trudem) oświadczyli, że ni-

czego już w życiu nie chcą, jak tylko tego, żeby był spokój, żeby było co jeść, żeby było ciepło i żeby nie czyhały na człowieka żadne niebezpieczeństwa. Uważało się, że po przeżyciu takiej wojny niczego już więcej chcieć nie można. Pragnienia człowieka zawęziły się do kręgu spraw biologicznych. Bo po tym, jak ów własny krąg spraw totalnie i straszliwie pozostawał zagrożony, niemożliwością było, aby człowiek martwił się o jakiegokolwiek inne wartości, aby stawiał życiu maksymalistyczne wymagania „jak przed wojną”.

Wiele było matek i ojców, którzy w owych czasach, kiedy młodzież chorowała na kożciutłuszczyznę, kiedy wszystko było patetyczne i podniosłe a niektórych ludzi podrywał do działań patos historycznego momentu, wychodzili z wojny głosząc programowo (na użytek krewnych i znajomych) taką właśnie postawę.

Była to postawa, z której śladu nie zostało już po kilku miesiącach, po roku, co najwyżej po dwóch latach. W miarę jak życie się stabilizowało (a ten termin w odniesieniu do lat czterdziestych pojmować trzeba nader względnie) potrzeby życiowe i zgłaszane życiu wymagania galopowały w tempie niesamowicie szybkim.

Wspominam o tej postawie, śladu wesołego, powojennej depresji i wybuchającego, a nie tolerancyjnego biologicznego dlatego, że postawa ta małyby się przemieniała. W ślad za nią przemijały inne, będące w niezgodzie z ówczesnym dniem bieżącym, ciągle zmieniającym swój kształt.

Ciekawe jest to, że dziś nie umysłujemy sobie, nie uprzytamiamy własnych postaw z tego miodowego dla Polski Ludowej okresu.

Przeglądam prasę z wiosny 1945 r. Znajduję tam doniesienie, że przydział mięsa na kartki żywnościowe II

kat. wyniesie 0,75 kg miesięcznie, dla kat. IR — 0,50 kg miesięcznie itd. Na kupon 16 pobrać będzie można: kat. I — 4 kg chleba, kat. II — 2 kg, kat. IIR — 1,5 kg chleba.

Ceny wolnorynkowe kształtowały się jak następuje: masło — 370 zł za kg, mąka 50 zł za kg, cukier 180 zł, jajko 14 zł, gęś 350 zł, ryż 350 zł, kielbasa 260 zł, słonina 250 zł, sól 12 zł, karp 150 zł, herbata 1500 zł za kg, kawa 1400 za kg.

W tymże roku 1945 opożyczyna gazeta Mikołajczyka zamieszczała rozmowę z robotnikiem, w którego imieniu stawiła i logiczne i retoryczne, i demagogiczne za-

Dalszy ciąg  
na str.  
2 i 3

WŁODZIMIERZ  
KRYSIŃSKI

## PARADOKSY FRANCUSKIE i POLSKIE

I. Kilka słów o francuskich paradoksach.

Jadąc do Francji zaopatrzyłem się całkiem przypadkowo w małą książeczkę napisaną przez G. Duhamela o cywilizacji francuskiej. Czytałem ją pilnie w pociągu i przez kilka pierwszych dni pobytu za granicą. Książeczka owa, powstała w czasie okupacji hitlerowskiej ku pokrzepieniu serc, miała za zadanie unaocznic Francuzom wielkość ich kraju i narodu. Synteza historyczna przeplata się tu z psychologią, dywagacją socjologiczną sąsiaduje z refleksją literacką. Książeczka jest dokumentem i świadectwem niezwykle charakterystycznym. Akcent jest oczywiście położony na cechy dodatnie. Ponadto, wieczna natura Francuzów miała tam być zarejestrowana i uwypuklona na przykładach z burzliwej historii tego narodu.

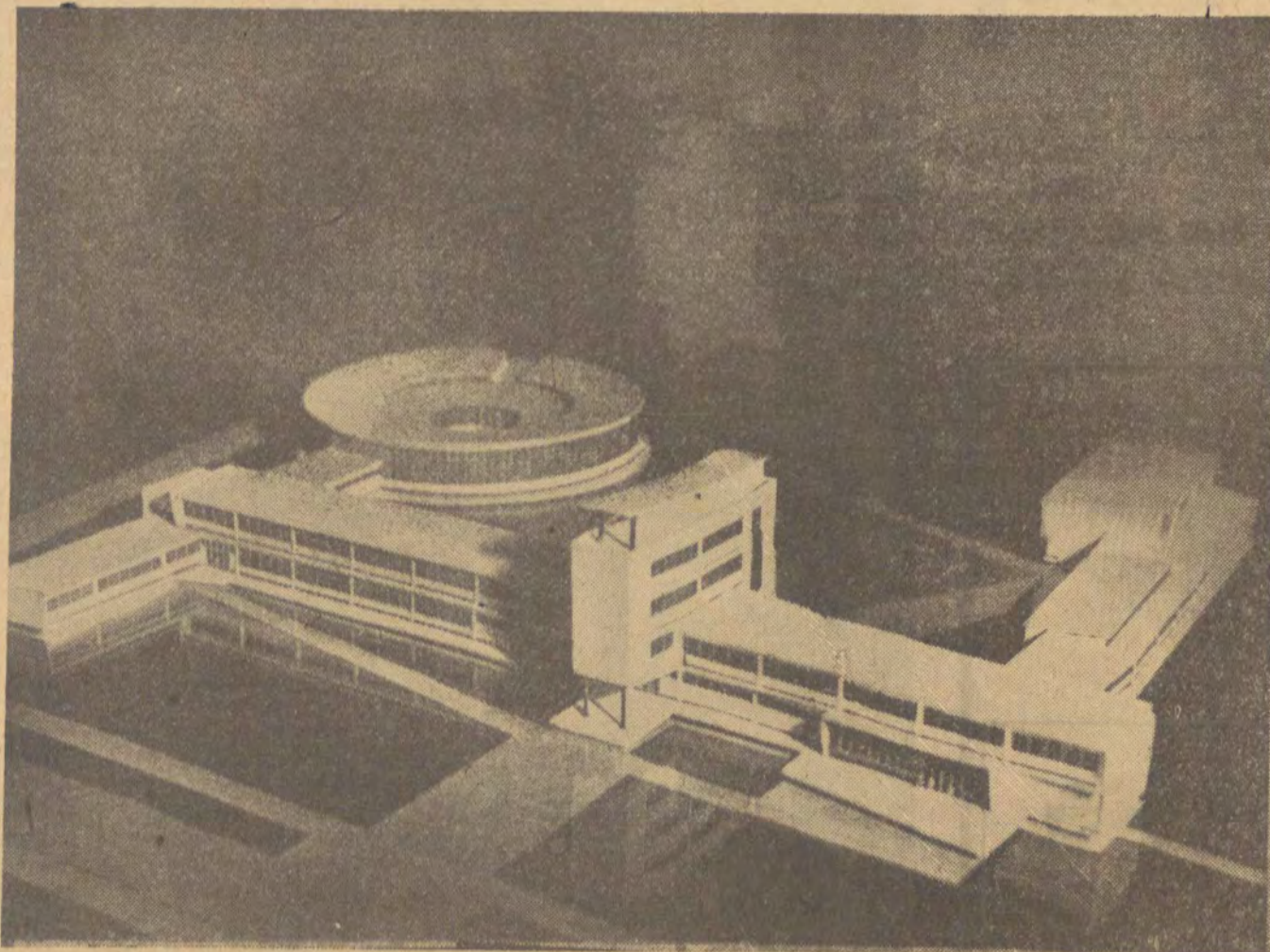
Duhamel w swoich pięciokrotnie powierchowych analizach czy zbyt pochopnych syntezach zwraca uwagę i na takie cnoty, które, gdy wchodzą w krew, gdy je kto nadweręży, stają się wadą i to bardzo nieprzyjemną wadą ludzką. Taką cnotą zasadniczą Francuzów jest wg Duhamela myślenie oszczędności. O konsekwencjach nadużywania tej cnoty Duhamel oczywiście nie pisze. Analiza jest w kwestiach tego rodzaju bardzo utrudniona czy wręcz niemożliwa. Dla mnie jednak, pełnego wiary w człowieka przybysza ze Wschodu, skromna, nazwijmy to tak, instytucyjka pour boire'u była czymś niezwykłym. Co to właściwie jest takiego? W imię oszczędności? Nie potrafię na to odpowiedzieć. Po pięćdziesięciu pour boire'ach można tego sobie kieszeń w Paryżu nadwerężyć. A więc oszczędność kosztem czyjejs kieszeni. Zgodziłem się na to. A już biedni są ci bogaci Amerykanie czy Angliści przybywający do stolicy Francji. Na sam dźwięk mowy angielskiej kelnerzy barów czy restauracji reagują w sposób stosowny, tzn. podnoszą kilkakrotnie cenę posiłków. Opowiadano mi, że dość liczna grupa Polaków, jadąca z Kanady do kraju, zapłaciła za przelotny całkiem obiad 4 dolary od osoby, dlatego tylko, iż próbowali porozumieć się z Francuzami po angielsku.

Szperając kiedyś w bibliotece natrafiałem przypadkowo

(Dalszy ciąg na str. 8)

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

# NIECH TEDY KOŁŁATAJ SIĘ CIESZY...



Szkola Tysiąclecia na Bałutach przy ul. Pojezierskiej. Autor projektu inż. arch. Tadeusz Herbut — konstrukcje L. Brocki

Chodzę sobie po rozległym terenie budowy Szkoły Tysiąclecia i słucham jak majster, pan Antoni Menzel wyklęca się z projektantem, inżynierem Tadeuszem Herbutem, o jakiś murek. Podnieść go, czy może trochę obniżyć?

Szkola położona jest pięknie. Obok rozbudowują się Bałuty, naprzeciwko — młody las. Nie duży, nie mały, w sam raz dla młodzieży. No, a ten domek, który nibawem będzie przytykał nosem do potężnej ściany szkoły, trzeba rozebrać.

Imponuje mi ta nasza epoka. Ten murowany dom — rozebrać. A obok zbuduje się całe osiedle, kocie lby ziemi na asfalt, woda będzie,

ciepła, zimna, szkoła prawie ze szkła, jak słońce zaświeci, to się zapuści kolorowe słońce. Już sobie nawet wyobrażam ów słoneczny dzień, kiedy ściany szkoły pokryje pastelowa szachownica tkaniny, w każdej klasie inny kolor. Wszystko jest do zrobienia, wszystko możliwe.

W tym miejscu bierze mnie złość — a jak do takiej szkoły wpuszczać osłów? Co powie towarzysz Loga-Sowiński, i w ogóle Centralna Rada Związków Zawodowych, która dogłąda dosyć nawet pilnie jak na warszawiaków, budowy przy ulicy Pojezierskiej i świadczy materialnie?

Bo też z osłami mamy w Łodzi niemaly kłopot. Mówię całkiem poważnie. Kierownik budowy pan Piotr

Sobalski i cała załoga buduje istne чудо, a oni się i tak źle uczą. Nie tak dawno sam pan Kurator grzmiał na posiedzeniu naszej Rady Miejskiej. Jakże to być może, żeby 40 procent wychowanków Liceum Pedagogicznego to byli dwójjarze? 54 procent uczniów i uczennic Liceum Wychowawców Przedшкоli także miało piątki na dwóch nogach. A w ogóle nie za bardzo udaly się nam licea. 53 procent licealistów z dwójkami! I to żadna pociecha, że w szkołach zawodowych jest akurat samo. Prawdziwą pociechą może być tylko fakt, iż najmłodszym stosunkowo najmniej wyrosło osłów uższu. W roku szkolnym 1958—59, a o nim mówię cały czas,

tylko 25 procent dzieci dorobilo się co najmniej po jednej dwójce. To pozwala jednak sądzić, że kadry rosną jakiejś lepsze.

Oczywiście, przyjemna to rzecz ponarząć sobie i dodać przy tej okazji — za moich czasów, kochani, młodzież uczyła się lepiej, mogłbym nawet pokazać swoje świadectwo, tylko mi się jakoś zawieruszyło.

Trudniej natomiast rzecz wyjaśnić. Ale można, choćby tylko w części. Wszystkie nasze dzieci łódzkie uczą się. Co piąty łodzianin trzęsie się ze strachu przed wezwaniem do tablicy, a na klasówce ogląda się za „ściągą”, ach, co też ja plotę, ściągają

się i podpowiadało przed wojną, za sansej.

Tylko że warunki, w jakich uczy się młodzież, a nauczyciele uczą, z pewnością nie są jeszcze luksusowe. Luksus, być może, rozpuszcza, ale w tym wypadku?

Szkoły, każdy kto ma dziecko w wieku szkolnym dobrze to wie, pracują u nas na dwie, a czasem trzy zmiany. Moja córka już trzy lata chodzi do szkoły w południe, a wraca wieczorem. Ani obiad zjeść, ani lekcje wieczorem porządnie odrobić, ani połać sobie solidnie. I tłok, straszliwy tłok w klasach. Na Bałutach, gdzie właśnie oglądam przyszłą Szkołę Tysiąclecia, przypada na jedną izbę 68,4 dzieci, w Staromiejskiej — 74,2, na Władzowie — 67,2, a w całym mieście — 65,3. Już nie chcę mówić o samych lokalach.

W każdym razie na 119 budynków, którymi dysponuje dziś nasze łódzkie szkolnictwo podstawowe — 59 stało co najwyżej koło szkoły z prawdziwego zdarzenia, ale nigdy nią nie będzie ze względu na brak podstawowych urządzeń.

Niechże więc te warunki choć w części usprawiedliwią niedostateczne, jak na nasze potrzeby, wyniki nauczania.

Można w tym miejscu powiedzieć kilka brzydkich słów pod adresem międzywojennych rządów burżuazyjnych. Łódź i wtedy była drugim eo do wielkości miastem, a jednak moje rodzinne miasto, Kielce, równo 12,5 razy mniejsze od Łodzi, miało więcej państwowych liceów ogólnokształcących niż olbrzymia Łódź. Wystarczy tylko przeczytać prasę łódzką z tamtych lat, aby uświadomić sobie bezholowie, jakie panowało w tym zakresie. Pan Ostrowiecki, właściciel szkoły (Złnierska 38) wypłacał nauczycielom pensje weksłami, które oddawał do protestu, ale ich nie wykupywał. W ten sposób winien był nauczycielom ponad tysiąc złotych. Szkołę na Bałutach zlicytowano za bezcen, a przy Piotrkowskiej 114, gdzie mieściło się gimnazjum Reymonta, umieszczono obórę z krowami. Krowy, jak to one — rzycały, młodzież nie mogła się uczyć, no i oddychała nienajlepszym powietrzem.

Przez pewien czas nie miała Łódź nawet własnego kuratorium, no, ale zostawmy już sanacyjną politykę oświatową. Dodajmy tylko dla sprawiedliwości, że w pierwszym dziesięcioleciu Polski Ludowej także mało co budowano na potrzeby szkolnictwa. A dzieci przybywało i przybywa nadal. Wbrew warunkom przyrodniczym nasze miasto upodobały sobie bociany i rokrocznie

## 15 LAT

Dalszy ciąg  
ze str. 1

razem (zależy z jakiego punktu widzenia na nie spojrzeć) pytanie: jak wobec tego wyżyć, w sensie dosłownym i biologicznym wraz z rodziną, kiedy zarobek miesięczny wynosi 1500 zł?

Przytaczam ową relację przydziałów, cen i plac nie po to, aby rzec: „Patrzcie, jak wiele dziłałiśmy”. W tym miejscu byłoby to

śmieszne. Spisuję ze starych gazet te dane, aby zapytać: ilu z Was, Czytelnicy, bez owego przypomnienia uswiadomiloby sobie, że wtedy były kartki, że taka rzecz istniała, że kwestia biologicznego wyżycia była w pierwszych dniach wolności problemem pryncypialnym.

Albo... Przypomnijmy sobie postawę polityczną pewnej części inteligencji, postawę na którą rzutował czar akowskich lat i czar akowskiej, pozał się Boże, myśli politycznej.

Owa część inteligencji, przerażona ustrojowymi przemianami, obcością aury tworzącego się nowego porządku społecznego, zwracała oczy ku Zachodowi, eze-

konając na jego magiczne dokonania. Idealnie jej, w imię którego wyczekiwała, kiedy to Churchill zrobił w Polsce porządek, był aksjomat: „Oby było jak przed wojną”. (Oczywiście podają to w uproszeniu).

Czar lat przedwojennych — które w momencie, gdy były współczesnością, bynajmniej nie wydawały się większości inteligencji porządkiem specjalnie czarownym — wynikał z kontrastu. Po sanacyjnej Polsce przyszła okupacja i okres przedwojenny przymierzany do okupacji wydawał się pogodną sielanką. Pamięć o bezrobociu, faszystacji, zacofaniu, klikowych rządach, klęsce wreszcie, zacierała się w

konfrontacji z latami okupacji i wszystkim tym, co niesły one ze sobą.

Zachodzące w latach 1944—1945 i później przemiany nie były poddawane analizie rozumowej, która o ile była dokonywana, musiała prowadzić do całościowego lub częściowego, pozytywnie ewoluującego akceptu. Przemiany były obecne wykształconemu młotowi o Polsce. To starczało.

Zwracanie oczu na Zachód również nie miało podłoża rozumowego. Nie mogło mieć — o tym wiemy analizując te czasy z dzisiejszej perspektywy. Ale nie mogło mieć również w oparciu o tę wiedzę, jaką posiadali lub powinni byli posiadać ludzie wówczas.

Pozwolę sobie przytoczyć tu kilka cytatów. Stettinius, ówczesny sekretarz stanu USA, opisuje dyskusję nad sprawą polską przeprowadzoną w początku 1945 roku z Rooseveltem i

Edenem. Na str. 47 jego pamiętników czytamy:

„Sprzeciwiliśmy się przesunięciu granicy polskiej do linii Odry lub Odry-Nysy. W odniesieniu do terenów niemieckich, które miały przypaść Polsce, popieraliśmy ograniczenie tego odszkodowania do Prus Wschodnich (z wyjątkiem Pomorza obejmującego obszar mniej więcej 100 km na zachód wzdłuż wybrzeża bałtyckiego od polskiego Korytarza oraz Górny Śląsk”.

Znane są wszystkim rokowania na temat granic Polski na konferencji jałtańskiej. Podaję cytaty, dla zobrazowania tylko tonu tych dyskusji (wg pamiętników Byrnesa)

„Mówiąc te słowa Stalin wstał. To był jedyny raz podczas całej konferencji, kiedy przejawiał takie wzburzenie.

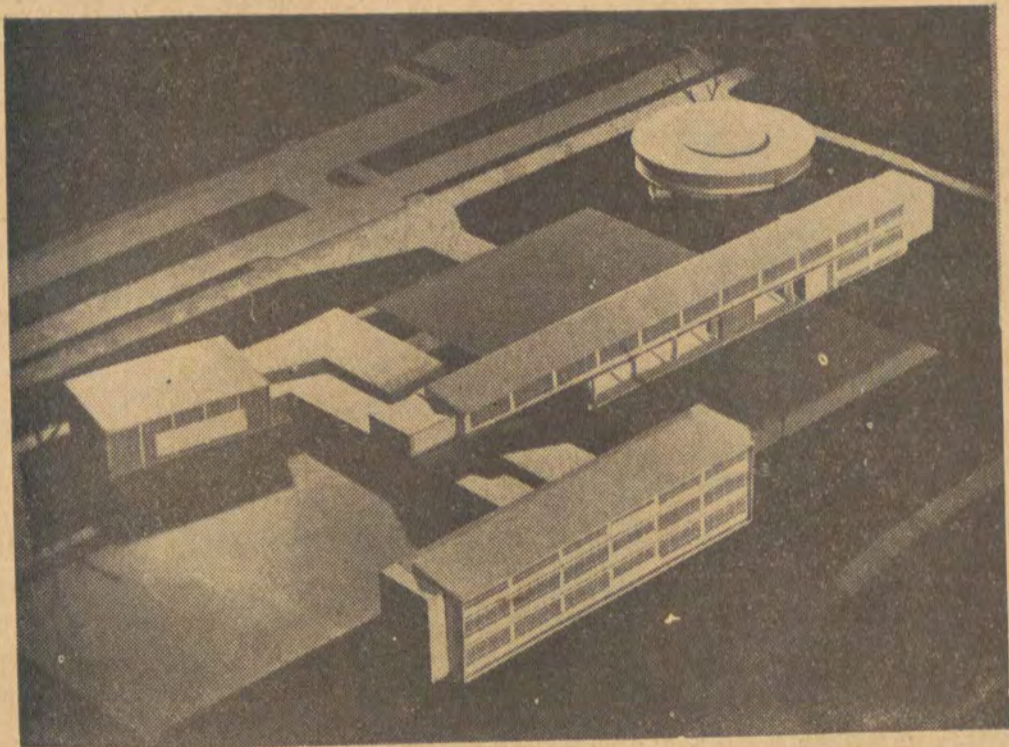
Wolę — ciągnął dalej — aby wojna przeciągnęła się mi-

mo ofiar i krwi, które ona nas kosztuje, abym mógł dać Polsce rekompensatę na zachodzie kosztem Niemiec”.

„Churchill wyraził wątpliwości, czy takie rozwiązanie jest rozsądne. Przyznał co prawda, że granice Polski winny być przesunięte na zachód, na dawne terytorium niemieckie, lecz stwierdził, że „byłoby szaleństwem napelnic głę polską taką ilością stawy niemieckiej, gdyż zdechłaby ona z niestrawności...”

Toczyły się wówczas i potem jeszcze w Poczdamie przetargi o „być albo nie być” ponad 1/3 terytorium Polski. Zachód chciał Polski od Bugu do Katowic i Kozłszaliny. Związek Radziecki takiej Polski, jaką rzeczywicie dziś mamy. Wszystkie gwarancje ZSRR udzielane reprezentantom narodu polskiego zostały zrealizowane. Żadna spośród gwarancji udzielonych przez Zachód zrealizowana nie została. Były to sprawy klarowne

str. 2 odgłosu



*Technikum Handlu Spółdzielczego i Szkoła Tyśiąclecia na Widzewie przy ul. Armii Czerwonej. Autor projektu inż. arch. Tadeusz Herbut, współpracownik inż. arch. Stanisław Oleszko*

puka do bram szkół 7-8 tysięcy dzieci.

Lodzianie kochają dzieci, ale czy są dobrymi wychowawcami? W każdym razie w roku 1958 mieliśmy 438 spraw o pozbawienie władzy rodzicielskiej i 14.280 awantur tatusiów z mamusiami, którym przyglądały się dzieci. Budujący widok!

Ale to, co istotnie buduje i pozwala optymistycznie spoglądać w przyszłość — to współczesne budownictwo szkolne w naszym mieście. Do 1965 roku, licząc od bieżącego, stanie w naszym mieście 106 nowych gmachów szkolnych za pieniądze państwowe. Lodzianie nie są, jak wiadomo najbogatsi, ale ich społeczna inicjatywa pozwoli na wybudowanie jeszcze 12 szkół.

Jestem tu, na ulicy Pojezierskiej i obserwuję pracę ludzi, powstaje szczególna szkoła, a ja nie jeszcze o niej nie powiedziałem. No więc to jest tak: będą tylko ściany poprzeczne, a te długie — ze szkła. Butów nie będzie się ścianało za każdym razem, bo tu zmagają podłogi z mas plastycznych. Raz się przejedzie mokrą ściereczką i czysta. A klasy będą kwadratowe, stoliki można sobie ustawiać w koło, amfiteatralnie, jak lepiej. Lecz nie na tym rzecz polega.

Zdaje mi się, że Hugo Kolla i inni członkowie Komisji Edukacji Narodowej cieszą się z wysokości na samą myśl o koncepcji wychowawczej, związanej z naszymi Szkołami Tyśiąclecia.

Kochani, to nie są zwykłe szkoły, nowoczesniejsze w sensie urządzeń. Te najtrwalsze pomniki naszych czasów, które trwać będą poprzez pokolenia, zostały starannie pomyślane, co do swojej funkcji. To są szkoły o różnych propozycjach dla ucznia.

Inżynier Herbut powiada: — Tutaj każdy musi odnaleźć siebie. Nie stolarka, to elektrotechnika, a jak i to nie — może go malarstwo dekoracyjne chwyci, albo mechanika.

A więc szkoły obliczone na rozbudzenie i zaspokojenie zainteresowań, proponujące rozmaite prace społecznie użyteczną. Kombinaty szkolny na Widzewie, projektowany również przez inż. Herbuta, budowany przy pomocy „Społem” też będzie taki, tylko w innym zakresie. Znajdzie tu uczeń wszystko, co wiąże się z umiejętnością handlowania. Od rozpoznawania towaru do uprzejmej obsługi włącznie. Daj Boże!

Szkoły Tyśiąclecia to szkoły, gdzie można będzie u-

świadomić sobie swoje własne talenty, zamilowania, to wielkie warsztaty. Również i dla tych, którzy już się nie uczą, a jeszcze nie pracują, czyli mówiąc po polsku — najczęściej chuliganii, objają boki, szlifują bruki, łazęgują. Młodzież z „pustych lat”. Jest jej w Łodzi odrobiny za dużo, bo około 8 tysięcy. Będzie i dla nich praca w warsztatach szkolnych.

I jeszcze jedno. Szkoły Tyśiąclecia będą ponumerowane, żeby się nam nie pomylili. Trzymajmy się łodzianie! Śluzaki, pierona, chcą mieć u siebie Szkołę Tyśiąclecia numer jeden. Nie damy się, co? Tylko solidnie otworzy najpiękniejszą ze wszystkich akcji, w której wizja szklanych domów Żeromskiego i myśl Kolla stały się z głębokim rozumieniem istotnych potrzeb narodu.

Następny numer „ODGŁOSÓW” ukazuje się w normalnej objętości, jak zwykle w czwartek 30 lipca

widoczne już wówczas w 1945 r. Istniał jednak jakiś niedowład intelektualny w dość licznych kręgach społeczeństwa nie sprzyjający dostrzeganiu kwestii podstawowych. Chłodna analiza rozumowa nie była popularnym instrumentem samookreślenia się.

Sprawa akowska. Ludzie, którzy będą w podziemiu ulegali politycznemu kierownictwu rządu londyńskiego, nie poddawali rozumowej analizie jego przynajmniej hasel.

Stypułkowską — Jedną z przywódców emigracyjnej endecji przytacza w swych pamiętnikach (str. 275) rozkaz gen. Okulickiego, wiosną 1945 r. — Komendanta Głównego AK. Oto wyjątki:

„Trzeba czekać na klęskę Japonii, aby mieć nadzieję poprawienia naszej sytuacji. Zanim to nastąpi, Zachód będzie troszczył się o pomoc Rosji w Azji. Będzie gotów na wszelkie ustępstwa po to,

aby pomoc tę sobie zapewnić. Lecz z czasem zda sobie sprawę z ogromnego niebezpieczeństwa, którym jest dla Europy zachłanność i potęga sowiecka. Zachód będzie zmuszony zmobilizować wszystkie siły, którymi dysponuje w Europie, aby je przeciwstawić Sowietom. Polska będzie wtedy w pierwszej linii i niewątpliwie będziemy się odznaczali bit w boku Niemcom pod wspólną komandą „apple-amerikana-cka”.

Te zbrodnie dla Polski i Polaków wzywają zbrodnię z każdego punktu widzenia, z każdej pozycji politycznego widzenia w tym okresie, nie stały się przyczyną i bodźcem do automatycznego niejako odwrócenia się sympatii podstawowych mas inteligencji ku lubelskim koncepcjom politycznym. Nie był to przecież dokument i powód jedyny i przypadkowy.

Ludzie, którzy wówczas

wyznawali prozachodnią i proakowską orientację, rozmawiając dzisiaj o swoich ówczesnych przekonaniach, zaprzeczają jakoby podzielali koncepcje, zawartą w cytowanym dokumencie. Zaprzeczają jakoby akceptowali politykę Zachodu wobec Polski. Zaprzeczają, jakoby byli przeciwnikami reformy rolnej, nacjonalizacji przemysłu i innych reform ekonomiczno-społecznych proponowanych przez PKWN. Nie zaprzeczają tylko, jakoby globalnie nie mieli przeczucia, proroctwa, że w sensie rządu londyńskiego orientacji.

Znaczy to, że przyznając się do jakiegoś ogólnego w tamtych czasach samookreślenia, odrzucają wszelkie jego elementy składowe, cały merytoryczny bagaż, jaki za sobą ono niesło. A więc oznacza to w konsekwencji, że już nie pamiętają, nie znajdują wytłumaczenia dla swoich ówczesnych poglądów, nie są w stanie zre-

konstruować samych siebie z tamtych czasów i przyznają, pośrednio, że ich ówczesne racje nie opierały się o jakiegokolwiek rozumowanie, że były wynikiem jakiegoś irracjonalnego mitu. Mitu, którego nie jesteśmy już dziś w stanie poddać socjologicznej i psychologicznej analizie.

Wydaje mi się, że jest to dość wymowna ilustracja tego, czym było ostatnie pójście w naszych dziejach i jaki to ogromny smutek czasu, gdy uświadamiamy sobie, że każdy rok zawierał czas niejako skondensowany, nieomal dziesięciolecie, jeśli chodzi o bagaż problemowy i szybkość zachodzących zmian.

Historyczny już charakter miodowego okresu Polski Ludowej świadczą wobec — szumnie powiadając — „sądu historii” na rzecz obraznego wówczas ogólnego wektora rozwojowego kraju.

ZBIGNIEW CHYLIŃSKI

# START w łódzkim wieżowcu — meta w 70 krajach świata

JACEK LEBEN

Halo, halo, tu Łódź! Halo, halo, tu Łódź!  
Do wszystkich, wszystkich, wszystkich! Do wszystkich kontynentów, do wszystkich krajów!  
Mówi Łódź.

Nie, to nie sygnały Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia, Te są słabe, docierają niedaleko — do Galkówka, Sieradza, Piotrkowa.

Łódź przemawia swą pracą. Setkami i tysiącami wagonów towarów wypracowanych rękami łódzkich robotników i robotnic. Z tych bliskich, tak dobrze znanych łódzkich dworców rozpoczynają te towary drogę w daleki świat.

Tu Londyn, tu Porto-Rico, tu Szanghaj, tu Rio de Janeiro.  
Towary otrzymaliśmy, czekamy na dalsze.

Niżej podpisany otrzymał zadanie. Napisać artykuł o łódzkim eksporcie. Temat ciekawy, atrakcyjny.

Termin wykonania 5 lipca. Niżej podpisany zasiadł do telefonu. Trzeba zadzwonić do ogólnomiejskiej instytucji. Może jakaś analiza, ocena eksportu z Łodzi. Zawsze to potem łatwiej pisać.

Nie z tego. Odpowiedzi były krótkie. Niestety, panie, posiadamy takich ocen, analiz. Sprawy eksportu koncentrują się w stolicy.

Ha, trudno. Niżej podpisany rozpoczął wędrowkę po łódzkich fabrykach i centralach. Węszyl, chodził wiele, wiele dni. Ale nie żałuje teraz, że nie trafił na żadną analizę, bo zobaczył i usłyszał wiele ciekawych rzeczy, którymi z Tobą Czytelniku pragnie się podzielić.

Z góry zaznaczam — we wszystkim co piszę nie ma krzły przesady. Z łódzkiego wieżowca prowadzą nic handlowe do 70 krajów świata. W wieżowcu tym mieści

się „CeTeBe” — Centrala Eksportowa Przemysłu Włókienniczego. Wielki, potężny eksporter — znany na rynkach całego świata.

„CeTeBe” to nazwa firmy. Nazwa niezmienna pod każdą szerokością geograficzną. W 1958 r. „CeTeBe” wyeksportowało towarów włókienniczych, bawełnianych, wełnianych, jedwabnych, nici, odcieży, za sumę 108 mln rubli (27 mln dolarów). W 1959 roku „CeTeBe” wyeksportuje towarów na sumę 120 mln rubli (30 mln dolarów). Z każdym rokiem więcej, z każdym rokiem do większej ilości krajów. Miliony metrów, tysiące bel.

Eksportujemy do krajów socjalistycznych i do krajów kapitalistycznych. Wartość eksportu do krajów kapitalistycznych opiewa w 58 r. na 16.400 tys. rubli, w 59 r. na 22.200 tys. rubli.

Najpoważniejszym importem polskich towarów włókienniczych jest Związek Radziecki. Do ZSRR idzie ok. 1/4 naszego eksportu. Wielkie ilości towarów, długie serie, w ramach długoterminowych umów handlowych. Eksport do Związku Radzieckiego jest szalenie opłacalny, uzyskujemy bardzo wysokie ceny. Choć konkurencja nie śpi.

Na radzieckim rynku działają Czesi, Węgrzy, Niemcy a coraz częściej zaczynają zjeżdżać kupcy francuscy, angielscy, włoscy, niemieccy. Na rynku radzieckim robi się dog. Tam trzeba mocno konkurować dziś z myślą o tym co będzie za 5-10 lat, kiedy tólk będzie jeszcze większy.

A taki np. Bliski Wschód — poważny odbiorca łódzkich tkanin. O tam handlować jest nietawo. Bliski Wschód to wyższa szkoła handlu, szalona konkurencja. Kupcy arabscy targują się godzinami, nie ma stałych cen — byle taniej kupić, byle szybciej sprzedać, odprzedać dalej przez dziesiątki pośredników, wziąć prowizję legalną i nielegalną — bo wszędzie trzeba smarować. Kupiec arabski opłaca celników i ministrów, kasjerów i kierowników banku.

Urzednicy Centrali mają staż liczony latami. Rodowody kupców arabskich sięgają tysiącleci. Nietawo jest handlować na Bliskim Wschodzie, nietawo skończyć wyższą szkołę handlu, nietawo dorównać mistrzom. Dajemy sobie jednak nieźle radę. Arabskie dzieci biegają po zaułkach Damaszku, Kairu i Teheranu w barwnych koszulach sygnowanych łódzkimi znakami firmowymi.

Mógłbym teraz napisać: jak nie wierzysz Czytelniku to pojedź na Bliski Wschód

Dokończenie na str. 4



**HALO:  
SZANGHAJ  
PORTO-RICO  
BOMBAJ**

(Dalszy ciąg ze str. 3)

I sprawdź. No, ale wiem, że wycieczki „Orbisu” są drogie a ja nie jestem kpiarzem. Handel to wielka sztuka. „CeTeBe” ma swych rodzimych agentów tylko w kilku krajach — w Libanie, Gwinei, Maroku, Iraku, Kanadzie.

W innych krajach „CeTeBe” handluje poprzez swych przedstawicieli. Jest w Oslo bardzo szanowana, stara, solidna firma „Inko”. Właścicielem jej jest pan Breda. Firma „Inko” jest wyłącznym przedstawicielem naszych towarów włókienniczych na Norwegię. Pan Breda corocznie odwiedza Łódź, jest solidnym kupcem i przyjaciелеm Polski. w Stanach Zjednoczonych naszym przedstawicielem jest firma Ralph Romm, w Kanadzie firma Libee Tradinc Co.

Nie wszędzie posiadamy stałych przedstawicieli, którzy mają wyłączność w handlowaniu polskimi towarami włókienniczymi. Są kraje, w których jest kilku przedstawicieli — agentów, albo prowizjonistów.

Staramy się pozyskiwać na przedstawicieli solidnych kupców, znanych w swoich krajach, posiadających szerokie kontakty. Dobry przedstawiciel to prawdziwy skarb. Dzięki umiejętności przedstawicieli „CeTeBe” weszliśmy na egzotyczne rynki w Antylach Młych i Dużych, w brytyjskich Indiach Zachodnich, wchodzimy na rynek Porto Rico u samych wrót Stanów Zjednoczonych. Zresztą z roku na rok wzrasta eksport polskich towarów na rynek Stanów Zjednoczonych, przede wszystkim towarów lnianych.

Zmniejszył się nieco eksport do Ameryki Środkowej, do Kuby, Republiki Dominikańskiej, Ekwadoru. Nic dziwnego, to teraz jest „kocioł”, wojny domowe, rewolucje. Te rzeczy nie pomagają w handlu.

W Turcji znów do roku 1955 byliśmy pierwszym eksporterem. Potem rząd turecki zastosował drakonickie środki dla zmniejszenia importu. Zaczęto forsownie rozwijać własny przemysł, nasz eksport do Turcji się zmniejszył. No cóż, w handlu różnie bywa.

Jeżeli zobaczysz Czytelniku na ulicach Łodzi egzotycznego gościa, to masz co najmniej jedną szansę na trzy, że jest to kupiec, który przyjechał do Łodzi, by załatwić sprawę w „CeTeBe”. Centralę tę odwiedza rocznie około tysiąca kupców zagranicznych. Do 1 lipca br. już 500. Możesz pozazdrościć również naszym rodzimym kupcom z „CeTeBe” zagranicznych wojaży i to w dalekie kraje. Rocznie ponad stu naszych „kopców” wyjeżdża w dalekie kraje. Handel wiąże się nierozłącznie z wojażami. Kupcy z „CeTeBe” stanowią ostatnie ogniwo wysiłku łódzkiego włókiennicza. Poprzez nich eksportowana praca łódzkiego włókienniczości wraca do kraju w po-

staci cennych dewiz: dolarów, funtów, rubli. Bo warto na zakończenie dodać, że połowa polskich towarów włókienniczych eksportowanych za granicę powstaje w łódzkich fabrykach.

**HANDLOWE KRÓLESTWO  
SKÓR, FUTER I GUMY  
NAZYWA SIĘ „SKORIMPEX”**

Drugą centralą eksportowo-importową w Łodzi jest „Skorimpex”. Bo w ogóle to tylko Łódź i Śląsk są poza Warszawą siedzibą central handlu zagranicznego. „Skorimpex” do ub. roku przeważnie importował, ale od roku 58 datuje się wielki skok eksportu — 750 tys. dolarów w 58 r., 3 mln dolarów w 59. „Skorimpex” to również wielka centrala. Odwiedza ją rocznie 300 kupców z za-

Galanteria skórzana to tradycyjny polski eksport, ale zaczynamy eksportować futra i to do Związku Radzieckiego; tam, do krainy futer, eksportujemy piękne pelisy z norek i lisów.

**ŁÓDŹ TO NIE TYLKO  
WŁÓKNO**

Pokutuje tradycyjne pojęcie — Łódź to włókno, tak samo jak Śląsk to węgiel i stal, a Wybrzeże to statki. Tradycja tradycją, ale trzeba podkreślić to z całą mocą, że Łódź to nie tylko włókno. Nie tylko włókno dla kraju i na eksport. Łódź to obrabiarki, to maszyny włókiennicze, to transformatory, sprzęt elektryczny, farmaceutyki.

Gdzieś przed 4 laty, w 55 r. przyjechał na Targi

kupcie polskie projektory. I Amerykanie kupili. Różnymi sposobami ubijają się interesy handlowe.

A Brazylijczycy chociaż nie mają bohatera Polaka również kupili projektory za 150 tys. dolarów, bo projektory są na najwyższym poziomie światowym.

Jak mowa o najwyższym poziomie światowym, to nie można pominąć Zakładów im. Strzelczyka.

Trudno wymagać od Anglika czy Francuza, żeby nie tylko wymówił, ale zapamiętał nawet nazwę Strzelczyk. Strzelczyk występuje więc pod firmą „Jotes”. A „Jotes” to już znana firma.

Czy wiesz Czytelniku, że obrabiarki i szlifierki produkowane przez „Jotes” w ciągu miesiąca wystarczą na wyposażenie zakładu zatrudniającego 800 pracowników? I czy wiesz o tym, że „Jotes” eksportuje 30 proc. swojej produkcji? A przy niektórych typach maszyn nawet 50 proc.?

„Jotes” nie może podobać zamówieniom. W ub. roku potężna seria eksportowa poszła do Chin — 170 tokarek, 20 szlifierek, duże serie do Finlandii, Turcji, Jugosławii. W Biurze Konstrucyjnym pracuje 40 inżynierów-konstruktorów. I muszą nieźle pracować skoro zagranica kupuje już licencje „Jotesa” (np. Chiny), skoro szlifierki „Jotesa” trafiają nawet do Stanów Zjednoczonych i Kanady. To jest już coś, proszę Czytelniku.

W tym roku zakład wyprodukuje 17 typów maszyn, w tym szereg własnej konstrukcji. Wystarczy dodać, że „Jotes” produkuje także szlifierki, które poza nim produkują jedynie dwie firmy w świecie. Nic więc dziwnego, że szlifierki kupuje się „na pniu”. Kupują Anglicy, Duńczycy. Eksport w ciągu jednego roku wzrósł o 80 proc. I to wszystko we włókienniczej Łodzi.

A czy wiesz Czytelniku, że sprzęt elektrotechniczny w Łodzi produkuje na eksport 6 wielkich fabryk? Taka np. fabryka „Elektar”, która przed wojną była małą mofownią, dziś zatrudnia 1700 robotników. Fabryka ta podwoiła produkcję w ciągu dwóch ostatnich lat. Właścicielami z przekąźnikami kupuje Iran, Chiny, Korea, Turcja, Brazylia.

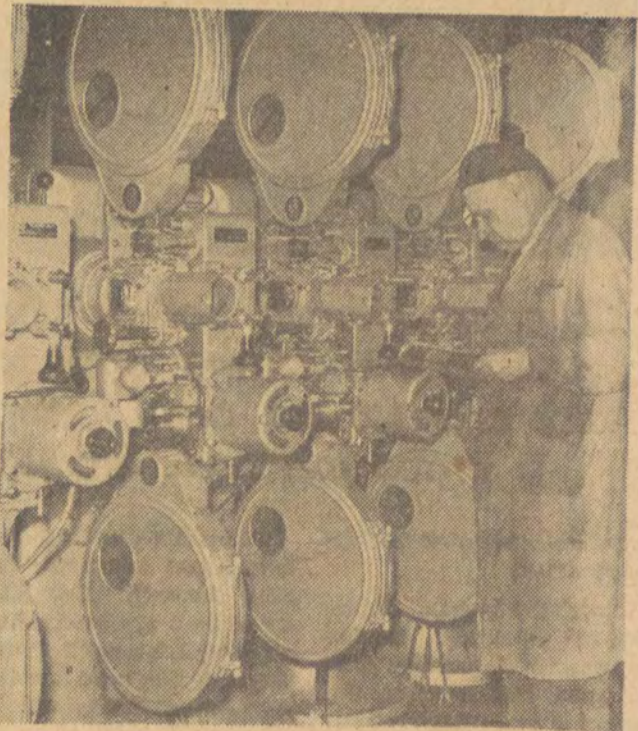
Zakłady M-3 wysyłają małe i potężne transformatory do 8 krajów Europy i Azji. 22 proc. produkcji idzie na eksport.

Włókiennicza Łódź produkuje maszyny włókiennicze. Wielka, nowa Fabryka Maszyn Włókienniczych na Widzewie produkuje elementy trzepaków dla Indii i Chin. Fabryka Maszyn Jedwabniczych „Famet” wyeksportowała duże serie maszyn do Brazylii i Indii. Jej odbiorcami są Węgry, Burma, Holandia, Egipt, Turcja, Iran, Izrael.

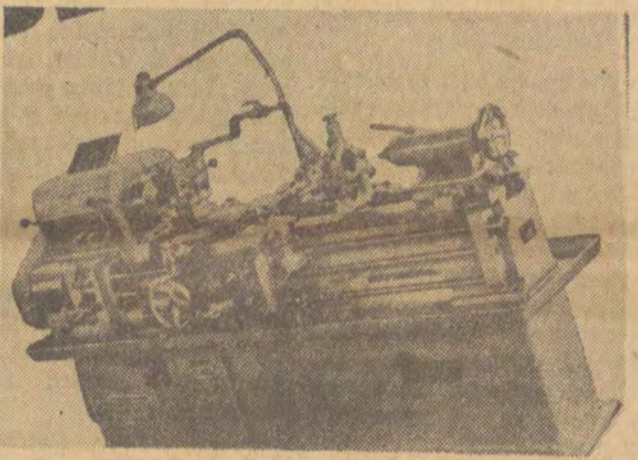
Wierz mi na słowo, Czytelniku że we wszystkich tych fabrykach byłem i patrzyłem na wszystko szeroko otwartymi oczami.

Sam dawniej myślałem, że dla świata Łódź — to włókno. A teraz już wiem, że włókno i precyzyjne, wysokiej klasy technicznej maszyny i urządzenia.

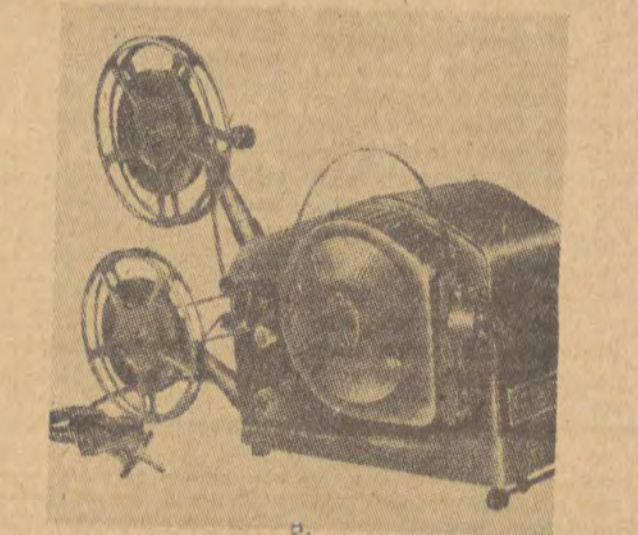
Halo, halo, tu Łódź! Halo halo, tu Łódź! Halo Moskwa, Rio de Janeiro, Bombaj — Łódź przemawia do was swoją pracą. Łódź mówi na falach eksportu.



Aparaty filmowe na eksport do Bułgarii



Tokarka szybkoobrotowa z Zakładów Strzelczyka



Projektor filmowy „Amator” Zakładów Kinotechnicznych



Polskie kalosze są również chętnie nabywane za granicą

## START W ŁÓDZKIM WIEŻOWCU — META W 70 KRAJACH ŚWIATA

granicę. 20 firm reprezentuje „Skorimpex” w świecie. M. in. znana z traperskich powieści „Hudson By Co”.

Poważną pozycją w eksporcie są wyroby dwóch łódzkich fabryk obuwia gumowego. Do Anglii eksportujemy przede wszystkim pantofle gimnastyczne na sumę 80 tys. dolarów. W Anglii bowiem istnieje w szkole obowiązek noszenia pantofli gimnastycznych — a nam w to graj. Poważne ilości obuwia gumowego eksportujemy do Francji — 100 tys. dolarów, do Kanady, Wenezueli. 400 tys. par obuwia gumowego z Łodzi zakupił Iran. Tam ludzie są za biedni żeby nosić obuwie na skórzanych podszewkach, noszą więc trampki „chinki”, gumowe obuwie robocze. Średnio jedną parę obuwia gumowego sprzedajemy za 1 dolara. Bijemy konkurencję. Jakością polskie trampki i chinki górują nad wyrobami japońskimi, chińskimi, czeskimi. Pan Mussa Malem Zadeh — nasz przedstawiciel w Iranie — kupuje więc coraz więcej wyrobów z łódzkich fabryk i nie narzeka. On też dobrze zarabia.

A skóra, proszę Czytelniku, jest w tej chwili towarem deficytowym. W Argentynie niepokoje, cena skór idzie w górę. O 100 proc. w ciągu roku. Eksportujemy więc całą parę. Skórzana galanteria, teczki, rękawiczki, walizki. Bo tworzywa sztuczne swoją drogą, to już rzecz powszednia, tania, a dobra, solidna żółta walizka z polskiej świńskiej skóry to luksus, to przedmiot zbytku. Służą one w podróży za możnym gentlemanom z Londynu, Paryża, Zurichu, Sztokholmu, Wiednia.

Poznańskie pewien turecki kupiec. Na Targach przyjechał się dobrze polskim projektorom produkowanym przez Łódzkie Zakłady Kinotechniczne. I prosto z Poznania przyjechał do Łodzi. Zamówił 10 projektorów. Projektory udały się „na medal”. Była to pierwsza eksportowa produkcja Łódzkich Zakładów Kinotechnicznych. A dziś marka LZK jest znana w całym świecie. Polskie projektory widziały targi i wystawy w Wiedniu, Izmirze, Damaszku, Salonikach, Sztokholmie, Paryżu.

Widzowie kinowi w Brazylii, Turcji, Izraelu, Egipcie, Maroku, Iranie, Iraku, Chinach, Korei, Związku Radzieckim, Czechosłowacji, Grecji, na Węgrzech oglądają filmy wyświetlane przez polskie aparaty projekcyjne. Łódzkie Zakłady Kinotechniczne produkują aparaty na średnią i szeroką taśmę do kin panoramicznych i stereofonicznych, projektorki amatorskie i dziecięce, epidiaskopy i episkopy, projektory warsztatowe i mnóstwo, mnóstwo innych wyrobów.

Ponad 15 proc. produkcji idzie na eksport. A jest to produkcja droga, opłacalna.

W Grecji amerykański koncern filmowy „Metro Goldwyn Mayer” buduje 50 luksusowych kin. W 16 kinach Amerykanie zainstalują polskie projektory. Amerykanie chcą bowiem nakręcić film o Polaku, bohaterze greckiego ruchu oporu. Zaś jego brat jest przedstawicielem naszych central handlowych na Grecję. Oświadczył więc Amerykanom — proszę bardzo, nakręcicie film o moim sławnym bracie, cała rodzina służy informacjami, ale

JACEK LEBEN

**FOTOREPORTAŻ  
Z NOWEGO  
KAPIELISKA  
W ARTURÓWKU**



*To już nie Arturówek, ale piękny basen na Wiźewie*



*Kompot z sliwek jest gęsty i słodki, ale wody zabrakło, a pić się chce nadal...*

**W SKWAR  
W UPĄŁ  
PŁOMIENNO  
— BIAŁY**



*Drugie śniadanie na trawie... Stroje są nieco dowolne, ale nikt się chyba nie zgorszy...*

Tu zamiast ryby można złowić „kociaka”



**Zdjęcia:  
MIŁOŚLAW  
PETRUSZKA**

Z butelkami po wodę z pompy



*Ach jak przyjemnie!*



Typowa władza (w nowym mundurze) i nietypowy obywatel (w samochodzie...)  
(Zdjęcie: Miłosław Petruszka)

# OBYWATELE — WŁADZA

Stosunki między władzą a obywatelem, lub vice versa, przypominają z grubsza prawidłowości związku małżeńskiego. Zaczyna się od miłości lub interesu, a potem współżycie układa się rozmaicie...

„Kilka słów” powiem o wycinku problemu obywatel-władza. Nie żeby miało to być ważniejsze lub ciekawsze od stosunku odwrotnego. Ale dlatego, że jest to ważne i ciekawe. A więc będzie to temat jednostronny i problem cząstkowy. Sam to sobie wytykam, bo po co mają mi wytykać inni.

Władza — duża rzecz, też potraktowana tu będzie wycinkowo i to w najprostszym jej istnieniu, elementarnych przejawach.

Konkretnie mówiąc mowa tu będzie o stosunku ludzi do milicjanta, tego przeciętnego milicjanta stojącego na rogu ulicy,

## SKARGI PRAWDZIWE I FALSYWY

Do Komendy MO miasta Łodzi napływają skargi na milicjantów. Mają one walor społecznego dokumentu, świadectwa wielu zjawisk. Umożliwi mi to kilka dygresji, które niech mi wybaczą ludzie, Bóg i milicja.

Na jednego (milicjanta) wypadają 0,913 poważniejszych i drobniejszych wykroczeń rocznie. Tyle mówi statystyka oskarżająca każdego pana w mundurze o trzyście tysięcy wykroczenia. Mówiąc bardziej po ludzku cyfra ta znaczy, że na każdy tysiąc milicjantów ma miejsce w ciągu roku 13 wykroczeń. Nie wiem — mało to czy dużo. Bardziej wszakże jest znamienne, że ogromna większość skarg napływających na milicję okazuje się nieprawdziwa.

W I kwartale 1957 r. na 127 skarg prawdę głosiły 37 skargi. W I kwartale 1958 r. na 170 prawdziwych było 39, w 1959 r. na 143 potwierdzenie znalazło 29. Do cyfr tych podejść trzeba jednak z całą ostrożnością, zakładając pewną poprawkę na niekorzystność milicji, a na korzystność prawdomówności obywatela. Mianowicie część skarg nie potwierdza się, gdyż w ogóle nie można ustalić stanu faktycznego. Ustalenie owo jest zabawą bardzo trudną.

Przykład. Mąż pokłócił się z żoną. Wezwano milicję. Następnie mąż oskarża milicjanta, że w czasie interwencji... uwiódł mu żonę. Świadców nie było. Po żmudnym dochodzeniu stwierdzono wszakże, że milicjant był z żoną skarżącego sam na sam zaledwie przez kilkadziesiąt sekund. W oparciu więc o znajomość zdolności witalnych tego milicjanta, przyjęto, że w tak krótkim czasie nie był on zdolny załatwić sprawy, o którą go pomawiają.

Motywy składania skarg nieprawdziwych są bardzo rozmaite. Czasem nie ma tu złej woli skarżącego się.

Pan J. W. donosi, że ex-żona jego brata przyszła do jego mieszkania wówczas, gdy był obecny tylko 15-letni syn, że przyszła w towarzystwie milicjanta, a ów milicjant otworzył szafę i zabrał rzeczy należące do męża towarzyszącej mu kobiety, czyli brata właściciela mieszkania. A więc milicjant nadużył władzy, bezprawnie włamał się do cudzej szafy itd.

Okazuje się przy badaniu sprawy, że ex-żona właściciela rzeczy przyszła sama, bez milicjanta, że 15-letni chłopiec wydał jej rzeczy, zaś kobieta ta, zabierając je, poradziła chłopcu, by powiedział, że była po rzeczy z milicjantem i ten je zabrał, bo inaczej rodzice złożą mu skórę za to, że rzeczy wydał.

## PRAWDZIWE FAKTY, FALSYWY OSKARŻENIA

Czasem ludzie skarżący się podają prawdziwe fakty, oskarżając milicjanta o rzeczy, które z punktu widzenia wewnętrznych przepisów, a również zdrowego rozsądku wykroczeniami nie są.

Z tego rodzaju materiałów wynikają już rzeczy ciekawe. Szesćdziesięciokilkuletni dyrektor jednej z fabryk wyskakuje nie na przystanku z tramwaju, który właśnie zmniejszył szybkość i wsiadł do innego tramwaju.

Wywołuje go stamtąd milicjant i soli mu mandat wysokości 5 zł. Starszy pan odmawia płacenia i pisze na milicjanta skargę.

Ze nie wiedział, iż to nie przystanek itd. że milicjant był w zmwowie z motorniczym, który... specjalnie zwalniał, żeby ludzie wysiadali i milicjant robił mandaty. I że to skandal, że milicjant „czepia się” porządnego obywatela, zamiast ścigać złodziei i chuliganów, tudzież czyni poważnemu człowiekowi wstyd przed bliźnimi, wyciągając go z tramwaju, jak jakiego przestępcę.

Tu już widzimy zjawisko bardzo ciekawe. Poczucie społecznego podziału na takich ludzi, z którymi w sposób naturalny milicja ma, powinna mieć i może mieć do czynienia i na tych, których styczność z mundurówą władzą ogranicza się do zasięgania informacji, gdzie jest jakaś ulica. Z poczucia przynależności do tej drugiej grupy płynie oburzenie, iż milicjant w ogóle występuje jako instrument represji, jako też wstyd przed przechodniami, że na ich oczach wchodzi się w kontakt z władzą, kontakt, nie polegający na korzystaniu z usługowych funkcji milicjanta.

## SIGNUM PRAWORZĄDNOŚCI I SPRAWA WSTYDU

Tego rodzaju poczucie, pn. „spokojny obywatel”, poczucie prerogatyw płynących z lojalności i bezkonfliktowego współzwiązku z władzą — jest cenna, a dość powszechna zdobycz z dziedziny ludzkiej świadomości społecznej. Jest to bowiem signum stabilizacji i praworządności w kraju. Poczucie, które, ogólnie rzecz biorąc jest u nas czymś nowym. Poczucie odbierające instytucjom państwowej przemocy właściwości działania katastroficznych, nieprzewidywalnego, metafizycznego. Obywatel PRL przeszedł się czuć jak kawkowski pan K. Miął kompleks pukania w nocy do drzwi.

Drugi ważki sygnał — to sprawa działania sankcji wstydu przed bliźnimi. Nie tylko ów starszy pan wstydy się, że ludzie widzą, jak wymierzają mu mandat.

W innej skardze jakiś facet, który coś po pijanemu na ulicy narozrabiał, a teraz broni się przed mandatem, pisze w skardze na milicjanta: „Siedzę z żoną i płaczę, że mnie mogli choćby posadzić, że byłem pijany”.

I nie tu nie szkodzi, że facet dobrze wie, iż był pijany i wcale się nie wstydy niczego, a zwyczajnie broni się przed 50-złotowym w tym wypadku mandatem. I nie nie szkodzi, że tak on siedział i płakał współ z tą żoną, jak ja tańczyłem kankana z krokodylem. Ważne tu jest, że ów trunkowy obywatel w ogóle wpadł na pomysł, iż w pewnych kategoriach obyczajowych, czy może nawet etycznych, jest rzeczą godną wstydu załączanie się na ulicy, że wstyd jest tu tą reakcją, która się adresatowi listu — komendantowi MO — spodoba.

## „JA PANU POKAŻĘ...”

Wszakże większość listów zawierających skargi na milicjantów, które to skargi okazały się nie prawdziwe — zawiera świadome kłamstwa.

Przykład klasyczny. Oto wersja wydarzeń podana w liście skarżącego się na milicję i oskarżającego ją o poważne przestępstwa kryminalne (oczywiście podając treść listu w wielkim skrócie).

„Stałem sobie ze znajomym na ulicy. W pewnej chwili doszło dwóch nieznanym. W tym momencie podjechał samochód z milicją. Ów znajomy mój i ci nieznanymi uciekli. Milicjanci rzucili się na mnie. Wsadzili do samochodu. W samochodzie kierowca kopnął mnie w brzuch. Milicjant zaczął walić kolbą rewolweru w głowę. Gdy dowiedziałem się, że komisarz byłem tak pokrzywdzony, że musiałem mnie przewieźć na pogotowie. Zabrano mi również dokumenty, których nie oddano po dziś dzień”.

Toczy się dochodzenie i komenda milicji ustala (w tym wypadku z uwagi na mnogość wszelkiego rodzaju świadków bez żadnego trudu), że rzecz miała się zgoda inaczej.

Dwóch pijanych facetów, w tym nasz skarżący się, potraciło dwóch przechodniów. Przechodnie wdali

się z nimi w przyjacielską zresztą dysputę, zawierającą rady, aby szli do domu. W pewnej chwili jeden z pijaków osunął się na ziemię, bo go zamroczyło. Nadszedł milicjant. Razem z tymi dwoma przechodniami (drugi pijak zwił) zaciągnął autora listu do komisariatu. Okazało się, że pijak nie ma przy sobie dokumentów. Legł więc sobie w areszcie i spał. W nocy oświadczył, że chce siusiu. Milicjant wyprawił go do bramy, żeby sobie po-folgował. Gość, pijany jeszcze ciągle, spadł z kilku schodków i potluł się.

Oskarżony milicjant miał świadków w osobach tych przechodniów, którzy widzieli, że nie było żadnego samochodu, że jeden milicjant i oni wlekli gościa do komisariatu i nikt nikogo nie bił. Potłuczenia po upadku z kilku schodków zostawiają ślady zgola różne od walenia kolbą pistoletu i kopania w brzuch itd.

Motywy składania fałszywych doniesień na milicjantów są rozmaite. Przeważa chęć zemsty. Gdy milicjant zaaresztował, ukarał, działał w jakiś sposób na niekorzyść skarżącego się, ten uważa, że trzeba niejako wyrównać rachunek, odegrać się. Zresztą zazwyczaj uprzedza on milicjanta, że „mu pokaże”.

Świadczy to o specyficznym, bardzo osobistym stosunku ludzi do milicji.

## SPRAWIEDLIWOŚĆ „BEZOSOBOWA” I „OSOBOWA”

Gdzieś np. w Anglii policjant

traktowany jest, zresztą słusznie, jak jakaś maszyna działająca w imię z góry ustalonych reguł, w jakiś sposób nakreślona. Tak jak zbrodniarzowi nie przychodzi do głowy, by mieć żal do krzesła elektrycznego, przy pomocy którego przetrącony zostaje na tamten świat, tak też policjant jest dla ludzi maszyną tylko na usługach działającej obiektywnie sprawiedliwości. I poczucie, że reguły działania policji nie są związane z subiektywnymi momentami, powoduje, że nie mówi się do policjanta „ja panu pokażę” albo „pan nie wie kto ja jestem” w pełnym przekonaniu, że to kto on jest w tej sytuacji nie ma nie do rzeczy.

U nas nie. Działa nie jakaś bezosobowa sprawiedliwość, ale milicjant: „równy chłop” lub „taki syn”, „chłopak od tej ze sklepu” albo „znajomy jednego kumpla”. I krzywdy, jakich się od milicjanta doznają idą na jego konto.

Zresztą i zachowanie naszego milicjanta różni się od sposobu pracy jego zachodnich kolegów. Bob rozdaje mandaty jak bileterka w kinie. Rzecz toczy się na placzyczynie fakt czyli przewinienie — przedmiot czyli boleczek, nie ma winowajcy, nie ma policjanta. Nie ma dwóch ludzi. Jest przewidziany przez prawo współzwiązek między faktami: przewinienie — kara.

Nasz milicjant, gdy udziela mandatu wypowiedział całe przemówienie pedagogiczne, boleje nad delikwentem, radzi mu, ba przewiduje, co żona na to powie, że tak stracił 50 zł. Milicjanta można ubłagać, można go wzruszyć — i jakoś mandat uchodzi. Można go zdenerwować, wtedy bywa, że mandat podskakuje w górę. Nie jest więc u nas działaniem policyjnej maszyny takie bezosobowe. Zresztą w zamian może nie tak precyzyjne i nieomyłne.

## O BRZYDKIEJ SKŁONNOŚCI „GNOJENIA”

Ludzie piszą też nieprawdziwe donosy na milicję, aby odegrać się na swoich antagonistach, w których obronie lub po których stronie milicja wystąpiła. Żal wówczas rozciągany jest nie tylko na tych, za których sprawą milicja się zjawia, ale również na samą milicję. Wtedy milicjant też nie jest traktowany jako wysłannik Temidy dzielzący jej, delikatnie mówiąc, wadę wzroku, lecz jako sojusznik skarżącego się sąsiada; jako ktoś z partii antagonistycznej. Pragnąc „zgnoić” sąsiada, pragnie się również „zgnoić” jego sprzymierzeńców.

Gotowość „gnojenia” to też dosyć charakterystyczna nasza cecha, nie występująca tak ostro w społeczeństwach o bardziej tradycyjnych i stabilnych formach organizacji życia społecznego. Tam pozostaje się w sporze mediatora, zwycięstwa swojej racji, satysfakcji moralnej i moralnego pogrzebienia przeciwnika polegającego na tym, że wykazuje mu się przy pomocy uznanego autorytetu pojednawcze-

go, że nie miał racji. I ów on wówczas często uznaje, że nie miał racji.

U nas „gnojenie” ma formy biologiczne — zamknąć wroga, lub kontrawersarza, zabić, zniszczyć, wyrzucić z pracy. Wszystko co tylko można. I stąd w ogóle moda na posługiwanie się milicją — instytucją mającą w swych rękach represję karną, nie zaś władzę moralną — komitetem blokowym, radą zakładową, wyłonionym przez obie strony dostojnym starcem i mediatorem, sądem zawodowym czyli honorowym itd.

## DOBRCZE I ZŁE ZARAZEM

Milicja cierpi wiele z tego powodu, że wzywana jest do dziełsiatków spraw nie leżących de facto w jej gestii. Po części dzieje się tak dlatego, że ludzie nie wiedzą gdzie się udać: że jak sąsiadka nawymyślała — to do sądu z prywatnego oskarżenia, że jak dach przecieka to do administracji domów, że jak staruszka nie ma z czego żyć — to do rady narodowej itd. Zawsze się wzywa milicjanta, uznając, że jeśli jest to władza, która wsadza i która ma palkę i rewolwer, to jest to władza nadrzędna i uniwersalna.

Ale też ludzie walą na milicję dlatego, że w wielu wypadkach, w których sprawa winna być rozszadzana przez społeczne ciała arbitrazowe — nie mają się gdzie udać, bądź też nie chcą sobie egzekutywnego rodzaju, jaką zapewnia tzw. „koleżeński wymiar sprawiedliwości”.

Wielu publicystów widząc te kwestie, widząc, że ludzie nie mają dokąd się udać ze swoją krzywdą, jeśli krzywdą ta nie jest związana z zakresem kompetencji prokuratora — postulują tworzenie instytucji sądów kłieżęńskich, blokowych, sądziów „pokoju” tj. społecznych arbitrow itd.

Wydaje mi się, że to nie ma sensu dopoty, dopóki werdykty takich instytucji skazujących na karę li tylko moralną nie mają społecznego znaczenia. Kiedy sprawiedliwość wymierzona — to nie pogrzebienie moralne, ale więzienie lub wybite zęby. Zmiana takiej sytuacji społecznej zależy od zjawisk bardzo ogólnych i już zaczyna wstępować.

Niedostatek form naszego życia społecznego nie polega bowiem na braku instytucji odpowiadających rozmaitym funkcjom społeczeństwa jako zbiorowości. Polega zaś na niedorostach istoty rzeczy, niedorostach integracji społecznej, zmysłu społecznego i uznawania nadrzędności racji społecznych, społecznych sankcji moralnych i działań w imię tych racji.

I oto nasz stojący na rogu milicjant, dzięki temu, że przestał być groźny jako wykonawca sprawiedliwości metafizycznej, niespodziewanie, nieprzewidywalnej, nieracjonalnej w potocznych odczuciach winy i nie winy — awansował automatycznie do roli dalekiej od pragmatyki służbowej milicyjnego zawodowca. Awansował do roli pedagoga, doradcy, opiekuna, sądziego itd.

Siedzę w Komendzie Łódzkiej. Przychodzi staruszka, przez godzinę skarży się na sąsiadów. Z opowieści nie nie można zrozumieć. Oficer MO macha ręką na moje wyrazy współczucia — on już nawet rysował plany podziału mieszkań między zwaśnionych współlokatorów, spisywał umowy polubowne, załatwiał ludziom pracę itd. itd.

Aparat milicyjny w Polsce, nim dochrapał się fachowości w swoich zadaniach zawodowych, siłą społecznego nacisku, na mocy nie pisanych ustaw, przejął na siebie szereg obowiązków, które winny być udziałem samorządu społecznego-zawodowego i terytorialnego. Dobrze to i zle zarazem.

Na koniec wypadła mi przeprosić, że jako pretekstu do kilku przyczynkarskich uwag na temat naszego życia społecznego użyłem konkretnej sprawy stosunków obywatel-milicjant na kanwie fałszywych skarg na milicję. Ale... spojrzenie. Ludzie piszą, żeby atakem, wymigać się od kary, lub „zgnoić” nosiciela wymierzonej wobec siebie sankcji karnej. Czasem taka pisanina nazywa się w języku oficjalnym „udziałem społeczeństwa w wykrywaniu przestępstw”. Szumnym tym terminem objęte są zwykle donosy mające z reguły za cel załatwienie osobistych porachunków, „zgnojenie” osobistego antagonisty. Ze są częste — jest to dowód „antagonistycznego” charakteru naszego społeczeństwa, w którym każda jednostka ma wokół siebie zespół przyjaćci i wrogów, nie zaś podobnych sobie jednostek neutralnych. Jest to jednak temat i duży i inny.

JAN MAREK ADAMSKI

# KOT SPADA NA CZTERY ŁAPY



Skoczkowie w samolocie. Za chwilę start!



„...jeśli ludzie wykonają tylko jeden skok... mają pięćdziesiąt szans na sto, że sobie coś połamią. Jeśli skoczą dwa razy — mają osiemdziesiąt szans na sto. Jeśli skoczą trzy razy — jest absolutnie pewne, że nie wyjdą z tego cało... To nie jest kwestia treningu, to jest rachunek prawdopodobieństwa... „Pamięta pan opinię angielskiego specjalisty z „Mostu na rzece Kwai“ — Pierre'a Boule'a?”

Były urzędnik z Zielonej Góry potakuje, a potem kiwa przecząco głową.

— Skoro istnieje jakiś inny rachunek poza rachunkiem umiejętności, to i tak jest on znacznie wyższy na naszą korzyść — mówi.

Jest wczesne popołudnie. Wzdłuż drogi kłębi się naswietlona słońcem mgła. Z lewej strony, nad pasmem oparów, majaczą lasiste wzgórza.

— Zdażymy? — pytam.

— Chyba zdażymy — odpowiada były urzędnik — musimy zdażyć.

Poprawia beret, spogląda na zegarek.

— Trochę czasu zabrało nam spotkanie z patrolem. Wie pan, jak jechaliśmy po pana, to nas zatrzymali. „Biali” mają krzywe oko na komandosów...

Skrećamy w pole. Samochód gwałtownie hamuje.

— Lotnisko polowe — wysiadać — informuje konduktorskim głosem kierowca.

Z baraków wybiega kilkunastu opalonych dryblasów. Ktoś łapie mnie za łokieć. Odwracam się. Ależ tak... płowa czupryna, i te plegi... — Wasylko!

Obywatel plutonowy chciał swego czasu świeżo upieczonego i ciut niezdiscyplinowanego wojaka zamknąć do paki.

— To było dawno i nieprawda — protestuje chłopak z naszywkami sierżanta.

— Czuję, że szanowny redaktor zrewanżuje się w gazecie — śmieje się później w kantine.

Sączymy zwietrzałe piwko i czekamy na komunikat „Meteo”.

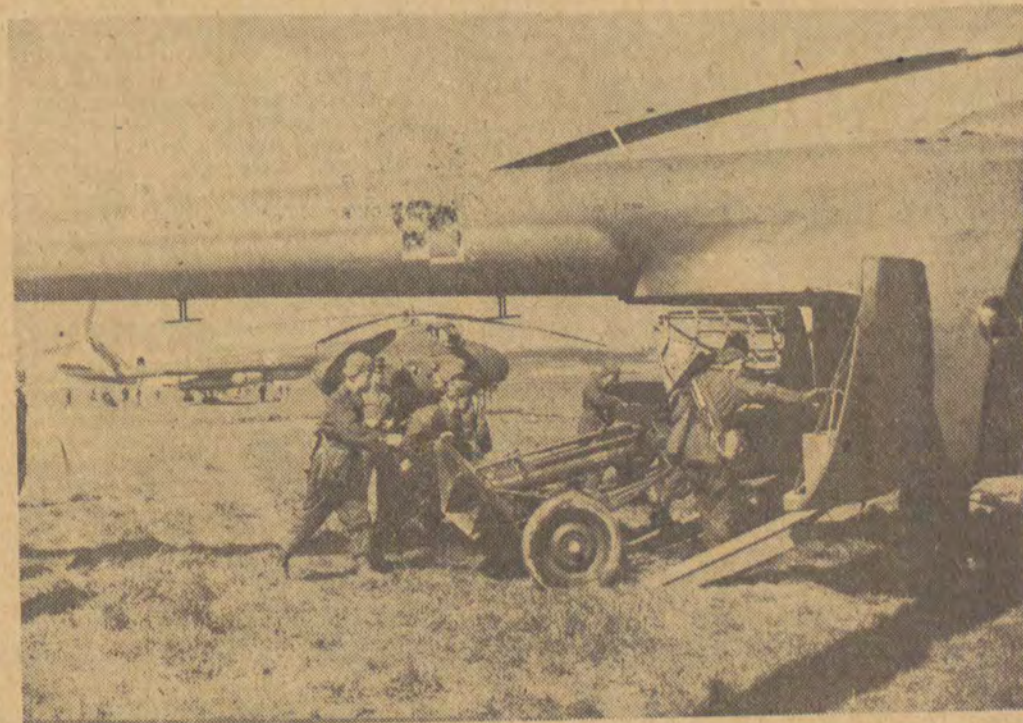


Skoczkowie spadochronowi zajmują miejsca w samolocie

Skoczkowie przygotowują się do zajęć



Zaladunek działa bezodrzutowego do helikoptera przed dokonaniem desantu



Dalszy ciąg  
na str.

8

Tekst:  
**BOGOSŁAW  
RAJCHERT**

Zdjęcia: WAF  
**W. ZAWADZKI**



### Dokończenie ze str. 7

Pod sąsiednią ścianą rozmawia kilku żołnierzy. Są bez beretów, porzypinali bluzy, podwinęli rękawy.

— Dyscyplina? — pytam niepewnie.

— A tak, dyscyplina — odpowiada sierżant. Prawdziwa dyscyplina. Niech cię nie mylą pozory. Zresztą, co ci będę mówił. Przekonasz się.

Rozmowy spod ściany:

— ... a on powiada: „Stefan ma na imię. Jedno mamy zadanie i jednakowo nam ciężko będzie. A więc powtarzam: jestem dowódcą ale jestem i kolegą”. Zebrał drużynę swoich i poszedł z nimi do lasu. Zrobili co do nich należało. Cholerny ma teraz postuch...

— ... Wiatr, nie mogłem.

... O małoś babie chatupy nie rozdeptał.

— ... Przeniosło, ale do komina zajrzałem. Grochówkę akurat kobiecina pitrasila...

Podłuchiwanie przerywa Wasylko:

— Chodź, „stary“ na ciebie czeka.

Dowódca jednostki. Trzydziesto-paraletni mężczyzna. Baretki wielu orderów, odznaka absolwenta Akademii Sztabu Generalnego.

— Dobra — poleci pan.

— Składania spadochronów już nie zdążymy obejrzeć. Ale trochę obserwacji pan zbierze.

Idziemy w kierunku samochodu. Po drodze mijamy ludzi w malinowych beretach. Wskakują do ciężarówek, noszą jakieś paczki. Wszyscy salutują. Czynną to przepisowo, a jednak z jakąś wewnętrzną swobodą, nierzadko z przyjaznym uśmiechem. Tak wita się kogoś, kogo się dobrze zna i lubi — myśle.

U nas stosunki między przełożonymi i podwładnymi cechuje wzajemne zaufanie i koleżeńskość — tłumaczy major. Rodzaj naszej służby szczególnie wymaga abyśmy się wzajemnie doskonale znali, żeby dowódca dobrze wiedział, jaki charakter mają jego podkomendni, na co ich stać, co potrafią, żeby żołnierz wiedział, jaki jest drugi żołnierz, idący z nim razem do akcji. Od zgrania zespołu — drużyny, a nawet kilku ludzi — zależy przecież powodzenie każdego naszego przedsięwzięcia.

— Czy zdarzają się jakieś nieporozumienia, czy bywa, że ktoś podczas ciężkich i skomplikowanych ćwiczeń załamie się, przestraszy, sprawi kłopot dowódcy i towarzyszom?

— Dotąd się to nie zdarzyło. Mamy przecież do czynienia z ludźmi, którzy dobrze wiedzą, jaki sobie rodzaj wojska wybrali. Powtarzam: wybrali, bowiem wszyscy są ochotnikami. Niektórzy przybyli zaraz po ukończeniu 18 lat i zdaniu egzaminów maturalnych. Paru przed wstąpieniem do wojska przeszło kursy spadochronowe bądź szybowcowe.

Powracam do początku zdania: — Wszyscy posiadają średnie wykształcenie?

— Tak. W „desantowej“ istnieje zasada: wszyscy, łącznie z kucharzem, muszą posiadać co najmniej świadectwo dojrzałości. Cóż pan chce — komandos to żołnierz inteligentny i zdyscyplinowany.

— ... Mówię patetycznie — kontynuuje po chwili major — ale to prawda. I prawda, że służba spadochroniarza kryje w sobie wiele pierwiastków patetycznych...

Wsiadamy do malej, krytej „dożdki“. W ostatniej chwili dostrzegam wymalowane po bokach znaki czerwonego krzyża. Wewnątrz ciasno. Kierownik lotu, lekarz i paru żołnierzy. Ktoś mówi:

— Obyśmy tylko tym nie wracali z powrotem...

— To żart — odpowiada mi lekarz — karetka bardzo rzadko spełnia swoją rolę...

— Trening — wtrąca major — trening. Ludzie codziennie zmuszeni się uczą, ćwiczą. Dlatego nieszczęśliwe wypadki są sporadyczne.

— A jednak...

— Tak, musimy być zawsze na wszystko przygotowani — ciągnie lekarz — jakies zerwanie ścięgna, no, nawet złamanie może być...

Wyskakujemy w bujną trawę. Wokół krzątają się żołnierze w kombinizonach. Cześć stoi w szeregu. Toboły spadochronów opierają o stopy.

— Doktorze...

Ostatnie badanie.

Odnalazł się Wasylko.

— W tej chwili można jeszcze żołnierza wycofać — tłumaczy. Zresztą każdy może to uczynić

Ziemia...

Na ziemi wybuch gwar...

— Wytożyło go!

— Popatrz, ustał kołeczek...

— Ale dostał przyspieszenie!

— Pamiętasz, ja też niegdys dostałem. Jakżeś mnie kopnął w czasie...

— Wicie, redaktorze, z jaką siłą skoczek „wita“ ziemię? To tak, jakby rąbnął z pierwszego piętra...

— No, ale mamy specjalne buty i zakładamy bandaże...

Lądowanie samolotu. Następni... Pilot otwiera kabinę.

— Teraz może pan lecieć.

Sadowię się na końcu ławeczki. Obok, rzędem pod ścianami, komandos. Inaczej to sobie wyobrażałem. Oni — choć każdy obuczony sprzętem i dwoma spadochronami — nie wyglądają groźnie. Wszyscy są bardzo młodzi, szczupli. Uśmiechają się do siebie. Twarze w obramowaniu brezentowych kominarek wydają się niemal dziewczęce...

Nie wiem, kiedy oderwali się od ziemi. Jesteśmy coraz wyżej, dalej. I wtedy dostrzegam na kilku twarzach pot. — Ktoś wlepił oczy w okienko naprzeciw. Ktoś uniósł oczy do góry. Ktoś gwizdnie. Dłonie tłamszą linki. Chłopak obok mnie przygryza wargi.

Zerkam niepewnie na instruktora. Przysuwa się bliżej.

— Bez obaw — krzyczy mi w ucho — to normalne. Zobaczy pan — nikt się nie zawaha.

Na którejś z kart zapisałem przed godziną: „Jeśli choć jeden spadochroniarz odmówi w samolocie skoku, załamia się także jego towarzysze“. Oni o tym wiedzą...

Maszyna wali się na skrzydło. Zawracamy.

W dole przepływają tasienki dróg, kępki zagajników i wreszcie zielona połać łąki.

— Ile? — wrzeszczy instruktor do pilota.

Warkot silnika głuszy odpowiedź.

— Daj sto wyżej!

Po chwili energiczny ruch ramienia, siedem postaci staje. Trzaskają karabńczyki przy linkach. Drzwi otwarte. Przy drzwiach ten, który gwizdał.

Odbicie. Pęd łamie chłopaka w pół. Następny, następny, następny... Szybciej!

Ostatni instruktor. Idzie na wolne otwarcie.

Zostaje sam. Świst wietru w pełnej błękitu czeluści...

Wychylony z przedziału nawigator podaje słuchawkę. Spoglądam w okno.

— Niech się pan o nich nie kłopotuje — slyszy pilota. Kot zawsze spada na cztery łapy...

W słuchawkach rozgłosiła: — „... pijcie soki smaczne i tanie. Soki sporządzone z najsłodszych owoców cytrusowych...“

Rumba... Muzyka i aktualność...

Trzaski w eterze.

— To burza — mówi pilot — gdzieś przed nami czoło burzy...

I znów na ziemi. Znów ktoś rusza w wysoką podróż, znów ktoś wysiada na przystanku chmur...

Wracamy gromadą do obozu. Ludzie gadają jeden przez drugiego. Napiecie minęło.

— Minął jeszcze jeden dzień — mówi major — dzień zwykły i wcale nie ten najtrudniejszy. Bywają ćwiczenia wymagające więcej odwagi i wysiłku. To były skoki najprostsze, treningowe...

— Tak, tak, nauka — uśmiecha się na pożegnanie — nauka i wnioski z nauki. Żeby chłopcy w każdej chwili mogli wypełnić to, co do nich należy...

— Odchodzi, brodząc wśród gestych traw lotniska. Jest cicho. Spada wieczorna rosa...

**BOGUSŁAW RAJCHERT**

# PARADOKSY FRANCUSKIE i POLSKIE

(Dalszy ciąg ze str. 2)

na kilka tytułów kilku rozprawek ekonomicznych i prawniczych głównie traktujących o zagadnieniu pour boire'u. A więc i Francuzi protestują i im się to nie podobają. W pewnych lokalach i w teatrze Vilara np. pour boire'y są zakazane.

Duhamel pisze jeszcze o wielu cechach charakteru Francuzów. Wywód jego streścić można zdaniem, w którym zawarty jest cały jego podziw oraz przekonanie o sprzecznościach i paradoksach Francji: „Ta Francja nie zwykła i pełna paradoksów nie przestała niepokoić inne narody, które postępują za nią w jej pracowitym pochodzie“. Pominawszy patos zdania, Duhamel słusznie zwrócił uwagę na paradoksalność Francji. Ten kraj już od dawna posadzony na świeczniku europejskim jest pełny paradoksów. Można się o tym przekonać będąc nie tylko w Paryżu. Rozmawiałem np. z Francuzami, którzy szcycąc się prozą, mówili: poezji to my nie mamy. Cóż za paradoks? Czy trzeba wymieniać plejadę nazwisk poetów choćby w XX. Panuje pogląd, iż we Francji ma miejsce rozwiązłość obyczajowa, młodzież jest zepsuta, zblazowana. Z pewnością w pewnych kręgach można by mówić o czymś takim. Z drugiej znowu strony, jeśli mogę sądzić, i pewien purytyzm obyczajowy jest nawet wśród młodzieży zjawiskiem częstym. Francuzi dbają o dusze swych synów i córek. Modne niezwykle są tutaj różnego rodzaju konferencje i dyskusje mistyczne. Idąc ulicą przeczytać można ogłoszenie ze zdjęciem roznegliżowanych girłasek, reklamujących kabaret z obowiązkowym strip-teasem — ale tuż obok znajdziesz zestaw tytułów konferencji mistycznych na najbliższy tydzień (Czy Pan Bóg stworzył piekło? Dokąd wędruje dusza po śmierci? Kto z nas ma szansę dostać się do nieba?)

Ta tendencja odbudowy świata poprzez ewangeliczny ruch odnowy moralnej i uświadomienia w kwestiach wiary jest we Francji, jak mi się zdaje, bardzo silna. Kiedyś byłem świadkiem sceny wznieślej, nie pozbawionej jednak elementów komicznych. Oto na rogu jednej z ulic Strasburga grupa dewotek ze sztandarami, trąbkami, popularnymi odevkami zapraszała na cykl konferencji. Dewotki owe zaangażowały na swoje usługi kilku mężczyzn. Cały ten pochód, ubrany na czarno zatrzymał się więc na rogu ulicy i trąbki, trąbki o chwila, rozrzucił ulotki oraz przemawiał do przechodniów ty le obojętnych co rozbawionych. Najkomiczniejsze w tym wszystkim zaś było to, iż jednej z dewotek nie podobowało się, że mężczyzna, właśnie ów, który czytał przez mikrofon fragment z Biblii, kręcił się jak niecierpliwy dzieciak, co chwila roztawiając swe stopy. Zobaczyłem obręczkę na jego palcu. Dewotka owa będąc przekonana, iż nie przystoi tak się zachowywać na oczach tłumy, co pewien czas podchodziła z tyłu do mężczyzny i subtelnym kopnięciem w pięte dawała mu do zrozumienia, iż tak stać nie należy. Czynność powtarzała się ze zdumiewającą regularnością. Kiedy oddalałem się od tego zgromadzenia, powietrze rozdzierały niezwykle skrzeczenia i piski trąbek. Warto może nadmienić, iż na tym samym rogu ulicy co wieczór wystają nieliczne w Strasburgu, córki miłości.

Przepraszam redaktorze! Miałem o Polsce i polskich paradoksach we Francji, a po plotkarsku o Francji się rozgadałem. Spróbujmy więc

na tle Francji kilka naszych paradoksów zobaczyć.

### 2. O paradoksach polskich słów kilka.

Spróbujmy odpowiedzieć sobie na pytanie, czym są dla Francuzów Polacy, jak Francuzi widzą Polskę, co o niej wiedzą?

Wpadł mi kiedyś w rękę tom poezji Apollinaire'a, w którym to poecie jak wiadomo krew polska płynęła. O toż w dołączonej, długiej przedmowie do tego tomu autorka starała się wyprawać genezę pewnych cech poezji autora „Prześlicznej rudowłosej“. Zrobiła to dość szybko i w sposób nieskomplikowany. Odwołała się do polskiego pochodzenia poety. Nadrabiając o tym, pisała o Polsce niczym o kraju tak egzotycznym jak Chiny, o kraju jednocześnie bardzo dziwnym i dalekim. Konglomerat cech sprzecznych poezji Apollinaire'a: jakieś bohaterstwo, zawadiactwo, zadziorność w połączeniu z dużą uczuciowością i wrażliwością, oto był dla owej uczonnej pani synonim natury polskiej. Jesteśmy więc dla Francuzów narodem żołniersko-bohaterów, uwodzicieli, dobrych pracowników, przede wszystkim górników. Przy całej ogromnej sympatii w naszą stronę skierowanej, jesteśmy dla Francji narodem wielkiego serca, przede wszystkim narodem, który fluktuacje sentymentu ceni sobie więcej, aniżeli wysiłek racjonalny. Sprawdza się to na każdym bez mała kroku. — Pan jest Polakiem — mówi Francuz — O, to wspomniał naród, wy macie dar do języków! Wy macie świętych bokserów!

Kiedyś w jednym ze schronisk w Wogezach, jedząc obiadek z grupą Francuzów odpowiadałem im na masę różnego rodzaju pytań (zainteresowanie Polską jest we Francji bardzo duże). Siedzący przy sąsiednim stoliku kulturalny pan, słysząc, że rozmawiamy o Polsce, podbiegł do naszej grupy i zbliżając się do mnie powiedział, że ma dużą satysfakcję z mojej uściśnionej ręki Polaka. — Wy jesteście wspaniałym narodem! Wasi lotnicy uratowali Anglię.

Dodajmy jeszcze do tego, iż najlepszy futbolista Francji jest z pochodzenia Polakiem. Gdy Kopa strzela gola, cała Francja się trzęsie. A Kopa to przecież Kopaczewski, nazwisko przy wymawianiu którego wszyscy kibice język mogliby sobie zlamać. Stwierdziwszy więc jakąś dużą, spontaniczną sympatię społeczeństwa francuskiego dla Polski, dodać należy, iż po październiku 1956 to zainteresowanie jeszcze bardziej się wzmożło. Zapytajmy, czy wygraliśmy te szanse, czy wykorzystaliśmy naszą popularność?

Otóż wydaje mi się, iż nie całkowicie, niezupełnie. Co przeciętny Francuz wie o Polsce; być może wspomni Leszczyńskiego, namiestnika Baru i Lotaryngii, być może wymieni nazwisko: Walewska. Czytał także kiedyś „Chłopów“ Reymonta, lub „Quo vadis“ Sienkiewicza, napomknie coś ogólnikowo o filmach polskich ostatnich lat (zaznaczy przy tym iż nie widział z tych filmów, prócz „Kanału“).

Na tym jego wiedza się kończy. Tutaj dochodzimy do paradoksów. Przecież wiadomo, że dość dużo tłumaczy się z naszej współczesnej literatury, ogłasza się różnego rodzaju publikacje o charakterze propagandowym, organizuje wystawy, spotkania itd. Mimo całej tej pracy wiele pojęć i opinii o Polsce, które stworzyli sobie Francuzi, nosi charakter wypaczony i fałszywy niejednokrotnie. Przyczyna tego może tkwić i w tym, że pewne

(Dalszy ciąg na str. 11)



# Dom przy ul. Radziwiłłowskiej

JAN  
HUSZCZA

FRAGMENTY WSPOMNIENI



Lubelski milicjant, ex-partyzant. Rys. Ignacy Witcz.  
Lublin 1944.

Tak więc w sposób zupełnie odmienny, niż to sobie wymarzyłem, znalazłem się w ojczyźnie, chociaż nie w swoich rodzinnych stronach.

W Chełmie Lubelskim, mieście przedtem znanym mi tylko z tego, że od lat wychodziła tam wiernie służąca poezji „Kamena” — od paru już dni rezydował Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego. W rozmowach ludzi na ulicach, kupujących soczyste wiśnie, syczało się echo pierwszego wiecu, wiatr muskał biało-czerwone flagi.

Naszym zadaniem — zadaniem szczyplutkiego początkowo zespołu — było wydawanie „Rzeczypospolitej”, pierwszego po latach okupacji legalnego i regularnego pisma codziennego.

Praca zaczęła się jeszcze w Chełmie.

Po paru dniach wjechaliśmy ciężarówką w ulicę pokaleczoną pociskami, niewiedzonego przez ogień Lublina, którego niejedną ruinę świadczą o ciężkich przejściach. Wszędzie ruch. Przeciągające ulicami jednostki polskie i radzieckie, partyzanci z granatami u pasów w polskich i zdobycznych mundurach oraz w cywilnych ubraniach.

Początkowo zespół nasz biwakował przy najbardziej ruchliwej — i to w najistotniejszym „sensie” — ulicy, gdzie mieszcili się naczelne władze, tzn. przy... Spokojnej. Biwakowaliśmy w paru pokojach o oknach bez szyb i o wejściach bez drzwi. Nocami pojawiały się — na szczęście, nieliczne samoloty niemieckie, budziłyśmy się i wychodziliśmy w rozbrzęczoną świerszczami ciepłą noc, obserwowaliśmy nocne fajerkierki: szperające światła reflektorów, kolorowe kule trasujące. Świerszcze, rzecz jasna, w takich chwilach nie dochodziły do głosu, cisze gryzły i rwały działka przeciwlotnicze „zenitki”.

Jeśli chodzi o pracę, czegoż to w pierwszym okresie nie robiło się! Dopiero znacznie później zaczęły krystalizować się kompetencje i obowiązki. Na razie trzeba było pisać reportaże, wiersze, felietony i notatki, robić korektę, rozdzielać egzemplarze gazety wśród przypadkowych kolporterów, przyjeżdżających samorzutnie aż z Białostockiego i Rzeszowskiego.

Tymczasem przeniesiliśmy się ze Spokojnej do wymiennego w tytule domu, piętrowego budynku z podwórkiem i ogródkiem przy ulicy Radziwiłłowskiej 9, która obecnie inną zapewne nosi nazwę... Ten dom, jak i częściowo dom przy Krakowskim Przedmieściu 62 — gdzie znalazła się redakcja „Rzeczypospolitej” — to było, żeby użyć terminu, jakim się wtedy siedziły jednostek wojskowych pseudonimowało, gospodarstwo majora Jerzego Borejszy, redaktora dziennika i organizatora Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik”.

Pracowało się w gmachu przy Krakowskim Przedmieściu, mieszkało się zaś przy Radziwiłłowskiej. Kto tylko miał coś wspólnego ze sprawami kultury i sztuki, to albo tam mieszkał, albo tam bywał na pogawędkach lub choćby zwyczajnie na obiadach i kolacjach — bardzo skromnych — w stolówce.

W niedużym — zimą prawie nie opalanym — pokoju na piętrze przez dłuższy czas, oprócz autora tego szkicu i paru innych osób, reprezentujących rozmaite, nieraz ścierające się poglądy, upodobania a także i zawody, mieszkali: zawsze stateczny i zrównoważony, hermetyczny Julian Przyboś, poeta Zbigniew Bieńkowski, wtedy jeszcze bardzo towarzyski — poeta Stanisław Piętak, przywieziony z Sandomierza; wlecznie szukający okazji do dyskusji, cierpiący na bezsenność i igno-

rujący potrzebę wypoczynku u innych, Jerzy Krecmar; ilustrator i karykaturzysta Ignacy Witcz...

A kto u nas w okresie od sierpnia 1944 do stycznia 1945 nie nocował? Nie darmo nazywaliśmy nasz pokój „peryselnym punktem”. A więc: Józef Ozga-Michalski (na stole), malarz Jerzy Mierzejewski („na waleta”), poeta w randze kapitana, Adam Ważyk (wewnątrz dwóch zestawionych skórzanym foteli), „specjalista” od broni pancerniej, współpracownik pisma jednostek pancernych, Artur Sandauer w olbrzymiej papasze (na podłodze), Tadeusz Peiper na płaszczach. Czy ktoś spał na szafie, tego sobie nie mogę przypomnieć.

Pojawiali się coraz to nowi ludzie z różnych stron, wylinali się jak z zaświatów, stawiali do pracy albo polemizowali, opowiadali o swoich przeżyciach. Słuchając o tych przeżyciach, ciągle jeszcze nie mogłem nadążyć wyobraźnią za tym, czym była okupacja.

Odnajdują się pisarze, w kawiarni „Pod paletą” (pierwszej kawiarni plastyków!) zdarzają się nieoczekiwane spotkania, gorączkowe rozmowy, czasem poetyckie aperitify z zawsze chętnym, paradującym w kombinacji z trzech bodajże letnich płaszczy, Januszem Minkiewiczem, i nie tylko z nim. Treścią tych „aperitifów” jest przeważnie bimber w szklankach, jako że na monopolową mogli sobie wtedy pozwolić tylko spekulanci i kombinatory.

Powstają w różnych terminach, ale w tym samym gmachu przy Krakowskim Przedmieściu: „Gazeta Lubelska”, „Głos Ludu”, „Zielony Sztandar”, pismo literackie „Odrodzenie”, „Wiś”, satyryczny „Starczyk” pod redakcją satyryka w randze porucznika, Leona Pasternaka...

„Rzeczpospolita” robi wydanie o formacie gazetki konspiracyjnych dla ziem jeszcze znajdujących się pod okupacją. Późniejszy animator i redaktor najciekawszego tygodnika literackiego pierwszych lat — „Kuznica” — Stefan Żółkiewski, w chwilach wolnych od czekania na korytarzu „Rzeczypospolitej” na kolejną „wybranek swego serca”, redaguje... organ rad narodowych!

Wyjazdy „w teren” dla zdobycia materiałów do reportaży wyglądały rozmaicie. Czasem była to Praga, czasem kontrastujący, jakby z idyllicznej książki o spokojnej przeszłości — piękny, osypany czerwonymi liśćmi pory jesiennej Naleczów, gdzie szkoła spółdzielczości kształtowała wiejską młodzież.

Jednym z bardziej wdrażających się w pamięć wypadków był pobyt u czołgistów brygady pancerniej im. Bohaterów Westerplatte, która pod niemieckim ogniem przeprawiła się przez Wisłę, wspierając — między ósmym a siedemnastym sierpnia — różne jednostki Piechoty radzieckiej, brała udział w ciężkich i bohater- skich, choć nie zawsze pomyslnych, walkach nazwanych później walkami o przyczołkę pod Warką, utrzymaną aż do ofensywy.

Dokądkolwiek jechało się, jazda ówczesnym zwyczajem prawie zawsze należała do „zwarowanych”, kawaler- skich. Te same upodobania mieli komsołcy z Leningu i młodzi chłopcy spod Lwowa.

Na szosach i drogach panowały wtedy stały, intensywne ruch. Na Lublin szły puste ciężarowe samochody, na

Garwolin, zaś, ku Wiśle, nalożone po brzegi ciężkimi skrzyniami, amunicją i zapatrzeniem dla huczącego frontu. Inne samochody wiozły żołnierzy, uzbrojonych czerwonoarmistów i naszych, z szerokimi orzelkami. Mi- jane dziewczęta od czasu do czasu przystawały, posyłając uśmiech albo przyjazny gest. Na skrzyżowaniach sterczały, wywijając chorągiewkami, zmęczone ale zawsze rezolutne dziewczyny znad Donu, Wołgi czy Dżwiny — „regulirowszczyce”...

Wszędzie — pokracznie po- wyginane, pokurczone, spraso- wane przez gąsienice, u- nieszkodliwione na zawsze wytwory wojennego przemy- słu niemieckiego: ciągniki, kuchnie, „Ferdynandy” i „Tygrysy”.

Szurgocą koła po klinkerze, przeważnie mocno pogrzyż- nym przez stalowe gąsienice, pachną rozłożyste lipty, oetienające krzyże przydroż- ne, świętiki i kapliczki. Sz- osie towarzyszą także wesołe klony, akacje, jesiony i to- pole. Po obu stronach lany stratowanych niekiedy zbóż, wśród zbóż czasem widać krzątających się przy opoź- nionych żniwach ludzi.

Mijającym wsiom i mia- steczkom brakuje często izb, domków, budynków. Czer- nąją kikuty kominów...

Im bliżej Wisły, tym ru- chliwiej. Coraz rzadziej jed- nak spotyka się cywilów, co- raz częściej — wojsko. Zapy- lone, czujne — podąża ku r- zeczce. Warkot motorów sta- je się czymś nie milknącym ani na chwilę.

Gdy wyjeżdżamy z które- goś tam sosnowego lasu, u- kazuje się rozległa, otwarta przestrzeń. Czuje się oddech wilgotny stalowych, metnych, daleko rozlanych wód: Wis- ła! Wisła nie z tęsknej pio- senki, nie z wierszy, ale tym razem prawdziwa!

Dudnią pracowicie, spoko- jnie a miarowo, maszyny na skleconym z pali sosnowych na pontonach, prowizorycz- nym, niskim moście.

Za Wisłą — ziemia wo- jenna! Nie milknąca ani dniami, ani nocą kanonada. Ciemne pióropusze, znaczą- ce wybuchy. W kanonadzie od czasu do czasu: oddzielni, wyróżniający się, groźny stu- kot „katiusz”.

A ranki nad Wisłą, mimo

ległych i rannych, szykowali się do dalszych walk, uważ- nie, jak dobrzy lekarze, o- pukiwali powierzone sobie stalowe twierdze, T-34, trzy- dziesiętonowe czołgi, wypo- sażone w 76 mm działa.

W e wrześniu znalazł się w Lublinie, a więc i w domu przy ulicy Radziwiłłowskiej, przybyły z Otwocka, Stefan Jaracz (1883—1945).

Radosne i smutne zarazem — ze względu na stan jego zdrowia — powitanie! Kie- dy w łagodnie niebieski dzień wrześniowy, na ocienionym dzikim winem tarasie przy Krakowskim Przedmieściu przeprowadzałem z nim wy- wiad dla literacko-społecz- nego pisma „Odrodzenie”, nie przeżuwałem, że to ostatni wywiad, jakiego Ja- racz udzielił dla pism pol- skich.

Jaracz opowiadał o swoich życiowych i dyrektorskich perypetiach, sięgając aż do pierwszych dni wojny, po- tem o Oświęcimiu, o często spotykanym tam: Norbercie Barlickim, szewcu z Nowego Targu, którego nazwiska nie pamiętał, jakimś uczynnym tramwajarzu warszawskim, o dr Putku i ks. Czetwertyńskim.

Potem — już w jakimś jakby skupionym uniesieniu — wrócił do spraw teatru.

Po twarzy Jaracza przem- ykały światła i cienie, rysy stygły na chwilę: czy nie jest może — zastanawiał się — ideałem teatr grecki, teatr pomyślany jako katharsis, do którego ludzie przychodzą po jakiejś oczyszczeniu, gdzie ludzie przestają być „pub- licznością”...

Potem znowu rozmawiał- my spokojnie i trzeźwo. Dwa można z grubszą wylo- nicę typy teatru europejskie- go: francuski i rosyjski. Tea- tr pokazywania, zewnętrznego gestu, bezpośredniego zwracania się do widowni, finezji, doskonałości słowa, dykcji i — teatr przeżywa- nia, teatr „od wnętrza”, teatr prawdy psychologicznej. Na- tile tych dwóch typów obser- wuje się stale próby uzyska- nia syntezy, wykrystalizowa- nia się obu typów w jeden.

Padły nazwy; nazwiska. „Reduta”, „Ateneum”, Os- terwa, Schiller. Mówił Ja- racz o wielkich osiągnię- ciach teatru rosyjskiego,

bokie przekonanie, że w naj- bliższej przyszłości będzie in- naczej. Mówił o konieczności stworzenia wielkiego stu- dium eksperymentalnego, a także Instytutu Teatralnego, o posyłaniu młodych akto- rów za granicę, o pogłębia- niu talentu przez stałą i wy- tężoną pracę wewnętrzną.

Mówił także Jaracz o ko- niecznej wydatnej pomocy państwa, o zdobywaniu no- wego widza, o udostępnieniu teatru robotnikom przez związki zawodowe, o wycie- czkach chłopskich.

Swoje marzenia o przys- zości wtedy, we wrześniu 1944 roku, wielki arty- sta zakończył słowami: „Wierzę, że tak będzie, że to się zrodzi”...

Pewnego razu odbył się — na oszklonej werandzie do- mu przy ul. Radziwiłłowskiej — bankiet na jego cześć, w którym wzięły udział naj- wyższe władze z gen. Rola- -Zymierskim na czele i przedstawiciele ówczesnego „świata kultury i sztuki”.

Na bankietowym stole — zgodnie ze skromnymi lub- elskimi możliwościami — prawie nie było wina, stała wódka w litrowych butel- kach, zdobytą przemysłowo- ścią jednego z naszych intenden- tów, czyli, używając terminu dzisiejszego, zaopatrze- niowców, sympatycznego ppor. Wincentego Wojcie- chowskiego, człowieka, któ- rego nigdy nie wytrącały ze snu próby nalotów na mia- sto, chociaż — zwłaszcza, w pierwszych dniach — nie- którzy mieszkańcy Lublina szukali noclegu i w piwni- cach.

A ludzi coraz przybywa- ło. Przyjeżdżali z Warsza- wy, przyjeżdżali z dalszego i bliższego Wschodu, z Kaza- chstanu i Uzbekistanu, z Wilna i Lwowa, przynosili swoje radości i troski, ura- zy i zadrzażenia, zwątpie- nia i nadzieje.

Większość, a może nawet wszyscy na tych stronicach wymienieni, otarli się w różnych okolicznościach i o dom przy ul. Radziwiłłowskiej 9...

Aż przyszedł rok 1945, ostatnia ofensywa, miesiące Wielkiego Spelenia, zakoń- czone datą 9 maja!



LUBLIN, WRZESIEŃ 1944. Siedzą od lewej: Zofia Dembińska, Stefan Jaracz, Zofia Bystrzycka. Stoją od lewej: Karol Kuryluk, Jerzy Putrament, Anatol Mikulko, autor wspomnień (widoczne tylko ucho), Józef Sigalin, Jerzy Borejsza.

artyleryjskich rozgrywek i samolotów, mgliste, zielone, wierzbowe. W powietrzu jednak, gdy się chce głębiej nim oddychać, trupi odór. W trawach i wgniecionych w ziemię zbożach leżą trupy hitlerowskich żołnierzy.

Pancerniacy — snują się w umorusanych kombinzo- nach i skórzanych hełmach wspominali swoje przeżycia sprzed paru dni, swoich po-

zwłaszcza tego — wywodzą- cego się z działalności Sta- nisławskiego.

W Polsce, w ciągu dwu- dziesięciu lat, sytuacja nigdy nie była pomyślna. Rzemio- ło średniego aktora — we- dług Jaracza — stało na ni- skim poziomie, sytuacja ma- terialna teatru na jeszcze niższym. Wyjątkiem była może Warszawa...

Jaracz wyraził swoje gło-

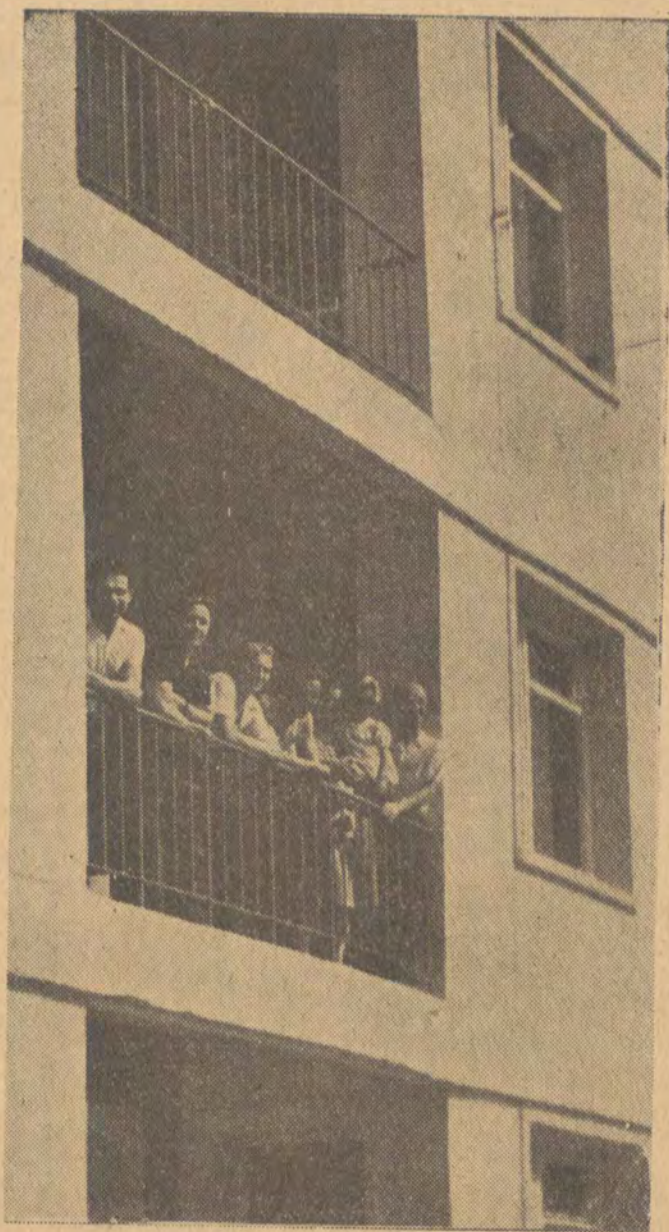
Lublin stopniowo wracał do „normy”, opuszczały miasto instytucje, ludzie szu- kali dla siebie miejsca w Łodzi i w Krakowie, następ- nie zaś w Warszawie.



# TOAST w szklankach po musztardzie

Tekst i zdjęcia:  
WIESŁAW MACHEJKO

Pierwsza  
kromka  
chleba  
w nowym  
mieszkanu



**P**oniedziałek, 13 lipca. To już drugi termin przeprowadki na nowe mieszkanie. Pakowali się od wczesnego ranka, ale gdzieś w głębi serca tała się niewiara i powątpiewanie. Bo za pierwszym razem, a było to wtedy, gdy „Odgłosy” zamieściły oficjalny komunikat o wynikach losowania nagród w „Odgłosach” w konkursie mieszkaniowym, żona p. Kubika, p. Wacława, spakowała manatki i gdy mąż wrócił z roboty, powiedziała: No to możemy jechać. Wiedział, o co chodzi. Był zresztą osobiście na publicznym losowaniu nagród w Klubie Dziennikarza. Ale dotąd nie miał w ręku tego kawałka papieru, na którym byłby wpisany numer ulicy i mieszkania. Powiedział: poczekaj, Wacława, to musi jeszcze potrwać. Ona zaś, przyzwyczajona do niepowodzeń, które szczególnie umiły sobie ich rodzinę, bez słowa rozpakowała kosze.

Nietrudno się domyślić, że nie tylko Kubikowie przeczytali ten numer gazety. Czytali go również sąsiedzi. Ci nie ucieszyli się ze szczęścia Kubików, z tego że los okazał się łaskawy dla rodziny, jak wiele innych — mieszkającej w podłych warunkach. Czoro dzieci: ośmiomiesięczny Andrzejek, pięcioletnia Basia, sześciolletni Krzysio i dziewięcioletnia Janka,

do tego ich dwoje, w jednym pokoju. Kąt służący za sypialnię, kąt kuchenny, kąt z nocnikiem. Tak, z nocnikiem, który każdego ranka trzeba wynosić. Czoro dzieci. Wiadomo. Tak więc zamiast wspólnej radości w drewnianym przy ul. Różyckiego 6 zakręlowała ludzka zawiść. Kubikom dogadywano, docinano, zapytywano, kiedy wreszcie się przeprowadzą. Trwało to trzy miesiące.

Nadszedł dzień drugiej przeprowadki. Kubikowa była zdenerwowana. Na podwórku drewniaka, vis a vis okien, urzędowali niemal wszyscy sąsiedzi. O godzinie 10-ej wszedł na podwórko reporter „Odgłosów”, by towarzyszyć radosnej ceremonii przeprowadki. Tęga pani w kolorowych szortach powiedziała do siedzących w cieniu komórki: a nie mówiłam, że przyjdzie tu jeszcze ktoś z prasy. Jesteśmy gotowi do zdjęcia, proszę bardzo...

Kubikowa powiedziała później, że sama chciała prosić o sfotografowanie tego całego gremium, które urzędowało na podwórku, oczekując na jej przeprowadzkę. Dogadywali, wydziwiali, że to zwyczajnym koniem, a nie samochodem jadą na osławiony Zubardź, że graty, że do takiego mieszkania, że pleszo tu wrócić... Chciała prosić o sfotografowanie, ale nie śmiała. Jeszcze nie była pewna.

13-go lipca o godzinie 10-ej mieszkała jeszcze na ulicy Różyckiego nr 6. Miała jeszcze tych samych sąsiadów o kąśliwych językach. Powiedziała o tym szczerze dopiero na Zubardziu. W swoim mieszkaniu.

O godzinie 15.30 reporter „Odgłosów” wszedł między kolorowe bloki osiedla, które od dziś nosi nazwę Osiedla im. Piętnastolecia Polski Ludowej. Szukał mieszkania nr 28 w bloku nr 66. Na balkonie pierwszego piętra ukazała się Kubikowa. — Tutaj, tutaj mieszka my — zawołała, prosimy do nas! Po chwili, na tym balkonie, zaroilo się od ludzi. Koledzy Kubika z MZBM-Sródmieście, ci, co pomogli mu w przewiezieniu litych gratów, cieszyli się teraz razem z nim. Przyjechali koniem, ale Kubik powiada, że na takie osiedle i do takiego mieszkania można nieść graty na plecach przez całą Łódź. Zresztą, panie drogi, sam pan wiesz, jak było i jak jest.

Z okien nowego mieszkania Kubików roztacza się widok na kolorowe bloki osiedla i na szkołę. Piękną, nowoczesną szkołę dla 700 dzieci Zubardzia, połączoną z blokami misterną siecią asfaltowych drózek, które prowadzić będą między trawnikami i skwerami kwiatowymi. Kubikowa staje teraz na balkonie, patrzy na szkołę i nagle marszczy brwi. Ma nowy kłopot.

Czy ta szkoła będzie aby jednastolatka? Czy Krzysiek, który we wrześniu ma iść do pierwszej klasy, będzie mógł tutaj zdać maturę? Czy dziewięcioletnią Jankę przyjmą od razu do trzeciej klasy?

Mieszkają tu dopiero trzy godziny. Jeszcze nie został rozpakowany domowy majdan, a ileż troski!

A co z dziećmi? Co robią w nowym mieszkaniu? Czy biegają po pokojach, zaglądają do łazienki i piszcą radośnie, że tu w wannie będzie się lepiej puszczało okręty, niż w rynsztokach na Różyckiego? Czy oglądają rzecz nieznaną: kuchenkę gazową? Dzieci śpią. One może najbardziej przeżyły przeprowadzkę. Zdenerwowane, wyczerpane nadmiarem wrażeń i tropikalnym upałem zasnęły na podłodze w drugim pokoju. W drugim pokoju, który jest, istnieje w rzeczywistości i który jest pojęciem nowym w tej rodzinie.

W pierwszym pokoju, na okrągłym stole, zestawionym przed chwilą, stoją dwie półlitrowki wiśniaku. To może źle, że nie umiemy inaczej czczyć ważnych chwil życia, ale fakt jest faktem, dwie butelki stoją. Do tego trochę pomidorów na głębokim talerzu, parę kawałków świeżego chleba, puszcza szprotek. Dookoła na skrzyniach, szufladach, koledzy Kubika, ci, którzy pomogli w przeprowadzce.

Toast w szklankach po musz-

tardzie. Rozwiązują się języki. Dwaj dobrzy koledzy się chwają że dostali już nowe mieszkania w blokach, trzeci czeka. Wiśniówka i upał robią swoje. Gadaż, w której nie ma już prawd konkretnych z wyjątkiem tej, że Kubik mieszka na Zubardziu. Jego zdrowie! Żeby im się dobrze żyło! A Kubik, bohater dnia, człowiek, którego temperament zupełnie nie pasuje do odgrywanej aktualnie roli, chodzi między tymi ludźmi i dziękuje wszystkim. O, tu — przypomina mu się nagle — pokaże panu coś pięknego. Jestem zamiłowanym fotoamatorem i narazie mam swoją ciemnię. Małeńki pokój, przeznaczony zapewne na śpiżarkę. Kubik będzie tu wywoływał swoje zdjęcia.

Przez drzwi pokoju balkonowego dolatuje oddech śpiącej trójki dzieciaków. Ich sen na podłodze nowego mieszkania jest już równy, spokojny. Kolega Kubika, uśmiechnięty brunet, ten co siedzi na postawionej sztorcem szufladzie podnosi szklankę.

— Niech im się dobrze żyje!

— Niech.

Ileż takich toastów zabrzmiało w ostatnich dniach w kolorowych blokach Zubardzia, przepraszą, od dziś Osiedla Piętnastolecia.

Kubik nie jest jedyny, choć jedyny wygrał mieszkanie w konkursie „Odgłosów”.



Oblewamy nowe mieszkanie



Kubikowie

# AUSPICJE

Kiedy przed laty Romulus zakładał Rzym, na niebie ukazało się dwanaście sępów. Wróżyło to świetną przyszłość wiecznemu miastu. Następca Romulusa upatrywał więc podobnych znaków. Zwyczaj ten nosi nazwę auspicjów. Warto by te wróżby przypomnieć w reportażu jubileuszowym. Prawda, Łódź to nie Rzym, ale jeśli się trochę przymruży oczy...

Siedem wzgórz Rzymu, siedem dzielnic Łodzi. Analogi można się doszukać. Chcielibyśmy ucharakteryzować na jednego z wodzów poetę, Horacego Safrina. Ale niestety, przebywa na urlopie, zaś w Wydziale Kultury nie było innych kompetentnych, aby mówić o osiągnięciach kulturalnych naszego miasta w Piętnastolecie. Sami musieliśmy dokonać auspicjów.

Reportażystę ruszyli w teren. Oto kawiarnia łódzka. Jedna z wielu, brzydka, peryferyjna. Chłopcy i dziewczęta przy stołkach. Wszyscy do siebie podobni. Takie same czarne koszule, takie same kretonowe sukienki. Siedzą nad kawą, piją tanie wino, czytają „Express”. Nagle skrzypnięcie drzwi. Wchodzi chłopak „z dobrej rodziny”. Patrzy na nas, podchodzi.

— Panowie, wy się tutaj deklasujecie.

Uśmiechamy się. To sukces niewątpliwy. Kiedy robotnik przestępuje próg kawiarni, kiedy czuje się w niej dobrze, kiedy żywo gestykuluje, tedy nie zważając na snobów, można mówić o sukcesach. Więc może jeden głębszy. Tanim winem toast za Piętnastolecie.

Składamy wizyty przewodniczącym Dzielnicowych Rad Narodowych. Nastrój prawie identyczny. Łódzka biegająca. Kolejki interesantów. Mężczyźni i kobiety. Wszyscy przewodniczący są jednakowo grzeczni. Wszyscy stwierdzają to samo.

— W dzielnicach nie ma funduszu na kulturę.

Dzielnica kin i kawiarni i teatrów. Trzy osoby kierujące kulturą konferują z reportażystami.

— Widzimy potrzebę prowadzenia spraw kultury i oświaty na szczeblu dzielnic.

W porównaniu z oświatą kultura jest marginesem. Budujemy szkoły, budujemy biblioteki, utatwiamy naukę. Z kulturą inaczej, choć teren chce pracować. Tylko Polesie ma fundusze, tylko trzy dzielnice mają specjalnego pracownika do spraw kultu-

ralnych. Etaty trzeba było wygospodarować. Tymczasem... instruktorowi do spraw kulturalnych poleca się rejestrowanie zabaw. Instruktor musi odkrywać świetlice w swojej dzielnicy. Wydział Kultury nie ma aktualnego rejestru. Wiele świetlic zniknęło. Często to tylko sale martwych narad i martwego sprzętu. Ale też często...

Wieźwiewie łódzkiej telewizji. Nad wejściem szyldy. Centralny Zarząd Handlu Artykułami Tekstylnymi, Polska Izba Handlu Zagranicznego, Najwyższa Izba Kontroli. W tym gmachu znajduje się świetlica, podobno jedna z lepszych w śródmieściu. W hallu jest pusto. Informator w niebieskim dreluchu wysadził głowę z okienka.

— Gdzie tutaj jest świetlica?

— To tylko dla pracowników.

Trzeba się przedstawić. Od dziesiątków lat ludzie jednakowo reagują na wizyty dziennikarzy. Ton urzędowy znika. Informator mówi dużo, wszystko co wie, więcej niż trzeba.

— Teraz lato, to świetlica niepotrzebna. Paczki się tam trzyma. Takie prezenty na 22 Lipca. Ale w sezonie... Panowie, tu się drzwi nie zamykają.

Jeszcze jedna świetlica. Długo walimy w drzwi. Wiadomo, lato. Przed nami dobijało się tutaj 5 młodych ludzi. Wreszcie kierowniczka otwiera.

— Teraz będzie remont. Sprzęty poprzestawiane. Na stole ping-pongowym leży główka kapusty. Na innym stole jakieś listy i dzienniki. Relacje z życia świetlicy. Zespoły artystyczne dały kilka występów dla Uniwersytetu Powszechnego. Jest kawiaranka, tylko dla swoich. Kierowniczka mówi o zainteresowaniach młodzieży:

— Jeden z chłopców pracuje, mimo swych zdolności, w cholewkarstwie. Nie chce się uczyć. — Pani kierowniczko — powiada — dali nam za dużo swobody. Niech mi kiedyś będzie coś nie wolno! Inaczej życie jest nieciekawie.

Ta świetlica Zakładów Poligraficznych na Wschodniej jest wykładnikiem zainteresowań kulturalnych mieszkańców bloku. Na jesieni chcą zorganizować teatrzyk satyryczny. Teraz pracują w różnych sekcjach. Chuligani, którzy zobaczyli świetlicę po raz pierwszy, mówili:

— Ale będzie czym mówić. Nie mówili. Młodzi ze świetlicy nie pozwolili,

„Konferencja” w dzielnicy Śródmieście przeciągnęła się do dwóch godzin. Inspektor do spraw kultury, młoda dziewczyna, mówi o swej pracy. Bada oddziaływanie świetlic w śródmieściu. Inni mówią o szkołach. Było 9 „podstawówek”, teraz jest 15. Były 4 szkoły dla pracujących, jest 7. Było tyle, jest tyle. Można numerować, można robić tabele, wykresy. Ale wciąż wielu młodych ludzi nie chodzi do szkoły. Ale wciąż jeszcze mamy analfabetów, ale wciąż...

Przewodniczący rozkładają ręce.

— Mamy osiągnięcia na polu oświaty. Osiągnięcia kulturalne są raczej smutne. Nie ma w dzielnicach oddzielnych komórek kulturalnych. Trzeba stworzyć 3-4 osobowe wydziały.

Ludzie kupują potworne landszafty w złożonych ramach. Ludzie kupują potworne gipsowe psy z przeróżnymi pyskami. Czy można się dziwić przewodniczącym? W każdej dzielnicy powtarza się to samo:

— Chcielibyśmy wybudować dom kultury.

Domy kultury istnieją w śródmieściu. Dom kultury mają Bałuty. Tow. Zawadzki zainteresował się budową domu kultury w centrum Widzewa.

Jesteśmy na Widzewie. Przewodniczący skarży się:

— Ludzie uważają za rozrywkę kulturalną tylko zabawę taneczną.

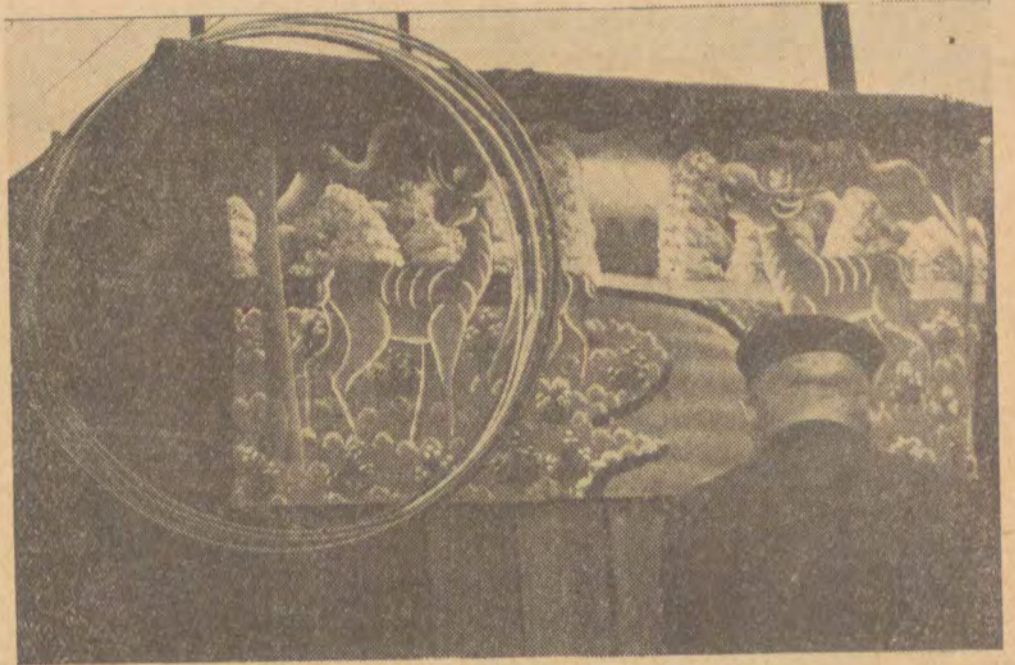
Rada Dzielnicowa opracowuje memoriał. W sprawie rozwoju kultury. Przewodniczący przyznają: „Z kulturą nie jest najlepiej. Ostatnio wiele się zmienia, ale wciąż są trudności.

— Czy jeden instruktor do spraw kultury może coś zrobić w dzielnicy?

Instruktor, młody człowiek, bez sankcji, bez środków. Instruktor — obserwator życia kulturalnego swojego terenu. Jedni przejmują się rolą obserwatora, drudzy nie. W dwóch dzielnicach nie ma jeszcze instruktorów. Trzeba dopiero wygospodarować etaty. A to wymaga szeregu zabiegów. Szeregu kombinacji.

Nareszcie! Nie, nie krzyżujemy. Uśmiechamy się. Ludzie zaczynają interesować się kulturą. Ludzie chcą pracować. Komitety blokowe piszą, proponują, działają. Jeszcze jeden memoriał. Siedzimy w gabinecie sekretarza Prezydium Łódź-Starego Miasta.

— Niech panowie to zobaczą... Memoriał w sprawie założenia czytelnicy. Od komitetu



Rzeczywistość...



„A auspicje

blokowego. Z sekretarzem Prezydium rozmawiamy trochę dłużej. Ciągłe ktoś nam przerywa. Przez drzwi wsuwają się głowy interesantów.

— Parkowi w Helenowie przywrócimy tradycyjny wygląd.

„Borowiecki poszedł śpiesznie do Helenowa. W parku było bardzo cicho i chłodno” — tak pisał Reymont w „Ziemiu obiecanej”.

W Helenowie tłumy młodych. Przesiadują w kawiarni. Tańczą.

— Na początku był „meksyk”. Chuligani zniknęli z Helenowa. Młodzi nie pozwolili mówić.

A przecież często wychowali się w „meksyku”. Stało to czasy.

Więc jakie auspicje? Młody robotnik na Bałutach mówi:

— Napiszcie, że otworzyli kawiarnię. Młodzi robotnicy dziwią

się, że ten Karol May to coś nie tego... Coś nie tak. Siedzimy z nimi na schodkach do późnej nocy. Rozmawiamy. Kiedyś May był o'key. Teraz nie wystarczy. Ale po czyje książki sięgną jutro młodzi robotnicy?

To prawda. Jest wiele do zrobienia. Wiele spraw istotnych, bolesnych.

W poczekalni przewodniczącego DRN na Chojach rozmawiamy z młodą kobietą. Ma na ręku dziecko. Wchodzi do gabinetu. Płacze, krzyczy. Czy można otwierać nowe świetlice, skoro ludzie wciąż jeszcze gnieżdżą się w jednej izbie? Skoro wciąż jeszcze placzą u przewodniczącego? Awanturowują się. Trzaskają drzwiami. Oto przeszkody, na które natrafia kultura.

Ale z każdym dniem więcej robotników czyta książki. Z każdym dniem wpływają nowe memoriały. Oto wysychają ścieki na Bałutach. Oto

lampy jarzeniowe rozświetlają Widzew. To są symptomy. Są mimo wszystko. Mimo popytu na szmirę. Mimo że połowa robotników łódzkich zakładów pracy nie posiada podstawowego wykształcenia. Mimo że naukowcy wciąż czują wstręt do współczesnej poezji. Mimo że muzea wciąż świecą pustkami.

Pytacie się: Jakże auspicje? Odpowiadamy: Dobre auspicje. Ludzie chcą kultury. Władze przypominały sobie o marginesie. To są symptomy. Skoro snob boi się zdeklasować w kawiarni. Skoro robotnik idzie do kawiarni. Skoro z Helenowa znika „meksyk”. Skoro przewodniczący Prezydium DRN czyta „Nową Kulturę”. Skoro dyskutuje o reportażu Lovella, skoro...

Oto auspicje. Chcielibyśmy, aby od salw na cześć Jubileuszu Piętnastolecia pękły wszystkie gipsowe psy.

## Paradoksy francuskie i polskie

(Dokończenie ze str. 8)

rzeczy przychodzą do Francji z dużym częstokroć opóźnieniem. Trzeba, żeby jakieś wydarzenie miało aspekt światowy lub walor bezwzględnie sukcesu, aby Francja mogła nas chwalić i o nas przez jakiś czas mówić. Trzeba, żeby Piątkowski pobit rekord świata w dysku, a Rowicki z orkiestrą F. N. przyjechał na koncert. Piszący te słowa miał okazję być na koncercie Polaków w Stresburgu. Mogłem też, jak sądzę, lepiej ich sukces ocenić, będąc tam kilka już miesięcy i mając pewne rozeznanie w życiu kulturalnym i muzycznym tego miasta. Przyjeżdżają do Stresburga na ogół bardzo wybitne zespoły teatralne, operowe, muzyczne, a także wybitni soliści. Sukcesy ich są niejednokrotnie znaczne. To jednak, co działo się na koncercie Rowickiego przeszło najmielsze oczekiwania. Spokojnych i kulturalnych tamtejszych melomanów o-

garnął zgola jakiś szal zbiorowy.

Na tle występu Rowickiego dzwonną rzeczą wydają się decyzje wysyłania innych zespołów, niejednokrotnie skazanych z góry na niepowodzenie. „Parady” Potockiego podobają się bardzo Francuzom. „Mazepa” w wykonaniu opery warszawskiej przyjęty został nieprzychylnie.

Można by jeszcze przytoczyć kilka innych zespołów, których występy zakończyły się fiaskiem. Potwierdza to pewną paradoksalną prawidłowość. Praktyka wykazuje, że nie ma recepty na sukces zagraniczny. Zespoły mające w kraju sławę nowatorstwa czy odkrywczości mogą nie przysporzyć nam wcale sukcesów za granicą.

Na dobrą sprawę z kilku przedstawień teatralnych oraz z kilku filmów możemy być całkiem obiektywnie dumni. Takie przedstawienia czy filmy powinna zagranica zobaczyć. Obecnie we

Francji np. pisze się dużo na temat „nowej fali” w filmie. Rozumie się przez to dość znaczną grupę młodych filmowców, którzy nakreślili pewną sumę wyrazem tendencji odnowienia filmu francuskiego. Lansuje się między innymi filmy C. Chabrola („Piękny Serge”, „Kuzyni”). Otóż samo zestawienie tych filmów z naszym „Popiołem i diamentem” byłoby czynnością żenującą. Niestety nie pokazaliśmy w Cannes tego filmu. Mówili Francuzom, że zrobiono u nas ostatnio kilka dobrych filmów. No, dobrze, ale gdzie to macie, dlaczego nie pokazaliście tego w Cannes. O tym zaś, że na ostatnim festiwalu warto było pokazać „Popioła i diament” dowiadujemy się z głosów prasy angielskiej po pierwszych projekcjach dzieła Wajdy. Niech ktoś się nie śmieje, że szczytnym się tylko „Popiołem i diamentem”. Na Zachodzie mówi się o „polskiej szkole filmu”. To przekonanie winno się ugruntować nie tylko w świa-

domości krytyków i konesorów, lecz także w świadomości widza.

Sprawa należytego i właściwego pokazania naszego dorobku artystycznego sprostowałaby się do racjonalnej gospodarki tymi osiągnięciami. Oczywiście, uwzględnisz aspekt propagandowy zagadnienia, należy posiadać jakąś podstawową znajomość terenu i rynku artystycznego, na który się dane dzieło wysyła. Możliwość ryzyka istnieje zawsze, ale lepiej wysłać „na pewniaka” z uzasadnionymi podstawami wyboru. Jeszcze o jednej sprawie chciałbym tutaj wspomnieć. Zagadnienie ruchu turystycznego. Okazuje się że dla Francuzów Polska jest krajem niezwykle z punktu widzenia turystyki atrakcyjnym. Choć zrobiono w tym względzie wiele, niestety nie można mówić o jakimś masowym zjawisku odwiedzania naszego kraju przez turystów obcych. Francuzi chcą oglądać i zwiedzać Polskę. Rozmawiałem z kil-

koma, którzy byli w naszym kraju. Są zachwyceni. Chcieliby tu jeszcze wrócić nie jeden raz. Nie jest jednak chyba zbyt dobrze jeżeli sami Francuzi opowiadają sobie w celach reklamowych o pięknie Polski. Czasami, gdzieś tam zachęca się do spędzania wakacji w Polsce. Jakaś reklama, jakiś plakat z napisem: Visitez la Pologne! obok którego dwie Łowiczanki śmiejące się uroczonie załatwiają wszystkiego. Pod tym względem Jugosławianie nas prześcignęli. Ich piękny kraj reklamowany jest właśnie tak, jak na to zasługuje. Wydają specjalne karty turystyczne z opisami obiektów turystycznych oraz instrukcjami w sprawie załatwiania formalności paszportowych. Niestety, takich broszurek polskich nie widziałem, choć trzeba przyznać, iż wydano w języku francuskim dość dużo cennych, dobrze nam się przysługujących publikacji.

Podsumowując te chaotyczne uwagi, które nazwa-

łem paradoksami, dobrze byłoby zdać sobie sprawę z celowości poruszenia niniejszych zagadnień. W dobie współczesnej, kiedy szeroko propaguje się wzajemną współpracę między narodami, kiedy narody dążą do tego, aby się wzajemnie poznać, powinniśmy pokazać zagranicy to, z czego możemy być szlachetnie dumni. Mieszkając w sercu Europy, trudno być sercem Europy, jednakże mamy prawo nie wstydzic się naszych osiągnięć. Mając atut świeżości np. naszej sztuki filmowej winniśmy zrobić z tego użytek właściwy i bez przesady pokazać to, co będąc świadectwem rozwoju, żywotności a także doświadczenia historycznego z pewnością ujmą nam nie przyniesie.

W. Krysiński

odgłosy str. 11



Jan Izidor Sztudynger, bożyszcze pensjonarek  
(zdjęcie ślubne z roku 1930, kiedy to znany  
fraszkopis pisał swoje wspomnienia)

Poniżej rozpoczynamy drukowanie fragmentów wspomnień znakomitego fraszkopisa, Jana Izidora Sztudyngera. Sądziemy, że wspomnienia te, nie tyle satyryczne, ile liryczne, spodobały się naszym czytelnikom. Napisane przed wielu laty, bo w roku 1930 — i dotychczas nie opublikowane — nie straciły one na pewno uroku i świeżości.

W następnym numerze opublikujemy drugi fragment wspomnień.

Przedstawię was panu domu, memu dziadkowi. O dziadku wiedziało się to, że jest wysoki, dobrze zbudowany i bardzo przystojny. Nigdy nie gniewał się, czasem co najwyżej niecierpliwiał, zrywał. Nigdy nie kazał wynosić się z pokoju, nigdy nie uderzył, a nawet nie ukarał żadnego z nas. Kiedy go coś niecierpliwilo, mówił na przykład: „Irzyk, jesteś dumny” i po chwili sam się wynosił do drugiego pokoju. To było naprawdę śliczne. Warto było dziadka rozgniewać. Po pierwsze, aby usłyszeć to imię „Irzyk”, jakby „Irzyk”, braciszek mój, był takim małym ptaszkiem.

Po drugie, aby zobaczyć, jak to dziadek sam się przed nami chowa, zamiast wyrzucić nas na zbity łeb, jak to robili inni. Nie wyprowadzałem dziadka z równowagi naumyślnie, ale za każdym razem, gdy się gniewał, doświadczałem prawdziwej, głębokiej radości.

Dziadek był emerytem. Dumą naszą było to, że piastował urząd „radcy dworu”. Wyglądało to tak. Jest duża, pusta sala. Na środku siedzi cesarz w złotej koronie, taki niekomiecznie przyjemny i na pewno nie bardzo mądry, skoro potrzebuje jeszcze radców i nadstawia uszu, a dziadek, jeden z niewielu kładzie mu w te nastawione uszy mądre rady. Grossvater pół życia spędził we Wiedniu i lubił cesarza, a my nie. Myśleliśmy: Dziadek jest stary już i całe życie mieszkał w „Widniu” i dlatego polubił cesarza. Nie pamiętam zresztą, aby ktoś z nami na te tematy rozmawiał. To było w powietrzu. Ta nasza instynktowna nienawiść do Austrii. Ale kiedy dziadek mówił: „Najjaśniejszy Pan”, pojmowało się wszystko. Austria ciemnocyfelka, to jedna para butów, a cesarz to druga, całkiem inna para. Najjaśniejszy Pan, to taki pan, jak świeca jasna, paląca się świeca. Swoją drogą śpiewaliśmy: „bo z Habsburgów tronem złączony jest na wieki świński los” (i to na kilka lat przed wojną światową), a swoją

drogą przyjemność nam sprawiał „Najjaśniejszy Pan” w jego ustach.

Poza tym dziadek, ten spokojny dziadek, był bardzo miły, bo lubił zbierać grzyby, a kiedyś, gdy był

# Dziadek

młodszy, zajmował się rybołówstwem.

Ogromnie imponowała nam ta rybacka wiedza dziadka, tym bardziej że nie sprawdzona, legendarna. Na razie stwierdziliśmy jego pasję do grzybów. To było bardzo dziwne, przecież to zbieranie grzybów, to i my potrafilimy robić, bawić się, ale grzybobranie dziadka było otoczone szczególną czcią całej rodziny. Cieszyło nas to, myśleliśmy sobie, dziś krzyczą na nas, gdy się bawimy, a jak będziemy starzy, to się z tego będą cieszyć. Wobec takich perspektyw warto było doczekać się starości.

Dziadek w ogóle „nic nie robił”. Siedział u siebie w ostatnim pokoju, gdzie nikt mu nie mógł przeszkodzić. Szło się do niego przez pokój jadalny i salon. Tam u niego, w pokoju, na stoliku leżały jego fajki i fajkowy tytoń, wykuwaczka, szmatki, poemat. Był tam stolik do kart — kartami do wista i preferansa, do taroka nawet. Leżały szachy i domino. W kącie stały wędki, nigdy nie używane, na szafie gnieździł się Kościuszko z gipsu, a za oknami blisko chwiały się akacje w czerwcu pachnące i kuszące, a potem przez cały rok, aż do jesieni, zielone, ciemnozielone na starość.

Wyrażywało się w tych akacjach okienko, aby dziadek mógł spoglądać na tozy rzeczne i kilkaset metrów odległy most na Rebe. Pamiętam, że zastanawiałem się, czy wolno dla dziadka ścinać gałęzie akacji i ten fakt podnosił we mnie jeszcze jego autorytet,

Czułem, że takie rzeczy można robić tylko dla kogoś niesłychanie, niezwykle ważnego.

Pokój dziadka, rozumiecie, jeśli kiedyś byliście prawdziwymi dziećmi, to był raj dla dzieci.

okienko w akacjach ....  
do patrzenia  
karty .....  
do grania  
tytoń .....  
do palenia  
szachy .....  
do ustawiania  
wędki .....  
do łowienia ryb  
a wreszcie laski .....  
do podpierania.

Wszystko to były rzeczy celowe, służące do jakiejś zabawy, rzeczy, których przeznaczenie można było zbadać, a piękno zrozumieć. Dziadek bawił się. Za pracę całego życia wolno mu było bawić się od rana do wieczora.

„Tyś szczęśliwy, tyś wesoly. Bo nie chodzisz już do szkoły” — wyraziłem tę myśl na imieniny dziadka. Nasza ra-

ważywszy, wówczas ja z triumfem zerwałem me prawdziwki, ale do dziś dnia pamiętam, że wstyd do powodu tej machinacji był większy niż przyjemność. Nie zrobiłem tego nigdy więcej.

Dziadek nie darzył mnie zresztą specjalnymi laskami. Byłem za żywy. Wołałem się sam bawić. On wyróżniał me kuzynki. Nie rozumiałem wówczas, jak w ogóle można woleć dziewczynki od chłopców. Są bardziej nerwowe, klótlive, trudniej mówić im prawdę, stałe robią w majteczki, a co najgorsze z wszystkiego, doją palec w buzi (ta młodsza przynajmniej). No, ale trudno to było dziadkowi wytłumaczyć. Moim, niepodzielnie moim, był dziadek tylko po kolacji.

Sypiałem czasem w jadalnym pokoju, na ceratowej kanapie, obok stołu z gryfami. Dzieci już poszły spać, starsi siedzieli przy stole. Dotąd męczyłem dziadka, aby mi coś zaśpiewał (kiedyś niepotrzebnie zdradził się że umie śpiewać), póki nie zanucił. Śpiewał na przemian tylko dwie pieśni: „Wszystkie nasze dzienne sprawy” i „Kiedy ranne wstają zorze”. Zalewał mnie zachwytem, prostotą słów, szelst zegarów na ścianach, stan półsnu, a pół jeszcze jawy. Drżałem pod wpływem pierwszych śpiewu. Pieśni pogłębiły mój stosunek do dziadka, są tym miejscem, do którego radośnie wracam, ale był i zgrzyt, który dotąd skwierczy, mimo że lata przeszły i zdołały dziadka obrócić w popiół, a z Myślenic zrobić kupę gruzów i wspomnień. Zgrzyt śmieszny, głupkawy, nieoczekiwany i prawdziwy. Rzuciłem pewnego razu kamieniami i jeden padł blisko dziadka. Dziadek zrobił gwałt i zamknął się w swoim pokoju, a mnie poczęło roztrząsać sumienie:

„Co też robisz, mogłeś zabić dziadka”, itd.

Nie wiem, kto mówił wówczas do mnie, do dziś przypominając to sobie, doznaję uczuć niechęci, żalu, czegoś prawie, jak złości. Zawsze kazano mi podziwiać dziadka za jego spokój, ale wówczas wolałbym, aby mnie był skrzyczał, niż rozpętywał taką lawinę zarzutów na moją głowę.

- 1) Kamyk był mały.
- 2) Upadł daleko (przynajmniej wedle moich ówczesnych obliczeń).

Wobec tego uważałem dziadka za skarżypytę (oczywiście potajemnie, nie przyznałbym się do tego nigdy), a jego olimpijski spokój wydał mi się podejrzanym. Dziadek upozował się na ofiarę, a ja się nią czułem. Patrzone na mnie, jak na zbrodniarza, wuj to podkreślał z lubością. Zresztą w biegu dni ta sprawa z kamieniem przepadła, rozplynęła się, na pewno nikt o niej nie pamięta, prócz mnie.

Jan Sztudynger



Statek kosmiczny „Meteor“ wyruszył na Oberona, księżyc Uranu, celem zdobycia bezcennego pierwiastka, zwanego levium. Po przybyciu na drugiego satelitę Uranu, Tytanie, załoga statku została sterroryzowana przez ludzianego aferzystę, Charlesa Berdota. W dalszą podróż „Meteor“ wyruszył już pod dowództwem Berdota. Przed chwilą statek wylądował na jednym z bazaltowych płaskowzgórz Oberona, tuż przy brzegu Płomiennego Oceanu...



stronauca z niedowierzaniem spoglądał na niego. Zdumiony Dorak zapytał:

— Uważasz, że powinniśmy porządkować się tym zbrodniarzem?

Niebieskie oczy Novy Smith błysnęły z wściekłością.

— Pilotcie, niech pan nie mówi głupstw! — wybuchnęła. — Berdot sprzątnie pana, tylko powróci z levium na Tytanie.

— Jesteśmy w jego rękach — powtórzył Nort. — Nasze nieposłuszeństwo zagraża życiu Aliny.

Na te słowa Connor, Wayty i Dorak poddali się. Ich milczenie było przynajmniej do porażki.

— Nareszcie zmadrzeście — stwierdził aferzysta. — Darm, ty z Kellsem pozostaniecie tutaj. Pamiętaj, że miss Lourelle musi znajdować się pod lufą pistoletu. Nort, pan z Connorem pójdzie ze mną i Tenningiem na zwiady. Przede wszystkim musimy zdecydować jak przepłynąć przez Płomienny Ocean.

Serce Norta uderzało pędem na podniecenia, gdy wydostawał cztery insulitowe ubrania, podobne do zwykłych skafandrów, lecz zrobione ze ścisłego, izolującego materiału. Helmy, również z podobnego materiału, miały podłużne kwarcowe szpary na wysokości oczu.

Każdy komplet posiadał aparat tlenowy i radiotelefon.

Najpierw ubrali się Berdot i Tenning, następnie Nort i Connor. Wszyscy uruchomili indywidualne antytermity, umocowane na plecach, i w tej chwili każdego otoczyła błękitna aureola energii neutralizującej.

— Proszę pamiętać o księżycowym oboju — ostrzegł Nort pochylając się, aby przywiązać ciężkie, metalowe podeszwy. — Przyciąganie tutaj jest słabe.

Berdot i muskularny Tenning zabrali broń atomową a następnie otworzyli służę. Nort i Connor weszli tam pierwszy na rozkaz Berdota.

— Wy dwaj macie iść naprzód, Nort — polecił Berdot. — Cały czas dwadzieścia stóp przed nami. Zrozumiano? Nort i Irlandczyk przeszli przez służę i wstąpili na chropowaty, czarny bazalt.

Wokół wirowały obłoki dymu. Z góry, szeleszcząc na hełmach, syłał się popiół.

Bazalt kołysał się i drżał pod nogami — to potężne wybuchy pływającego księżycy chybotwały jego niestabilną jeszcze powierzchnią. W połączeniu z duszącą temperaturą i oślepiającym dymem ten huk prawie zupełnie ogłuszył Norta.

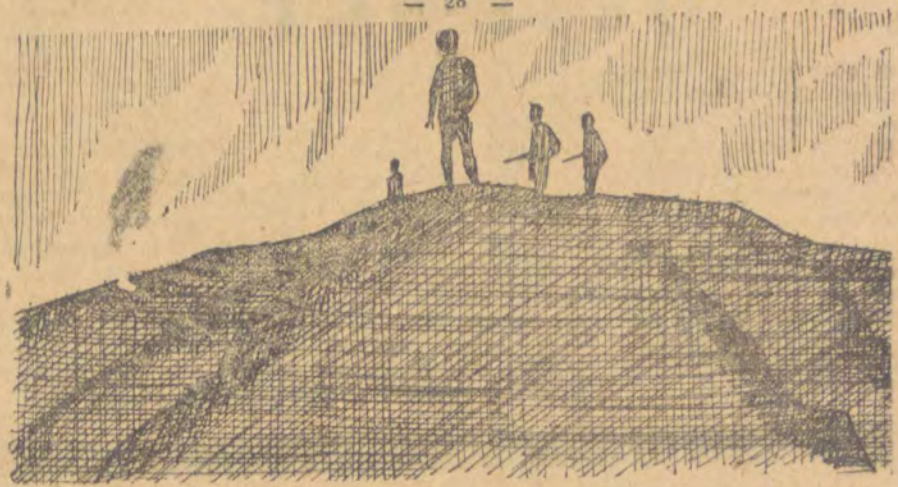
Nort odwrócił się w stronę Berdota i wskazał przez dym:

— Tam znajduje się ocean...

— Idźcie naprzód — rozkazał aferzysta.

Razem ze swoim barczystym pomocnikiem cały czas pozostawał z tyłu za Nortem i Connorem.

Wstrząsające uderzenia piorunów i ogłosy grzmotów rozlegały się coraz głośniejsze. Upał był nie do zniesienia i



przenikał nawet przez ochronne aureole energii otaczającej insulitowe skafandry.

Wtem Connor, krzyknął z przerażeniem i szarpnął Norta do tyłu. Osiągnął zachodni skraj bazaltowej przestrzni. W odległościach kilku jardów od nich, powolne, ciężkie fale rozbiły się o kamienie. Widok był wstrząsający. Morze płynnej, czerwonej lawy rozpościerało się przed nimi.

Daleko, wśród Płomiennego Oceanu, wznosiły się ostro trzy wulkaniczne wzgórza. Nort określił odległość od nich na dwie mile.

Rozległ się ochryply głos Berdota:

— Levium znajduje się w zachodniej iglicy. Nort, czy można tam trafić na rakięcie?

— Nigdy w życiu — oświadczył Nort. — Żaden pilot nie zdoła wylądować na tych stokach przy tak potężnych prądach atmosferycznych.

— Stary Lourelle powiada, że można przejechać na kamiennej tratwie — mruknął awanturnik. — Ale czy kamień zdoła utrzymać się na tej płynnej lawie?

Nort pochylił się i rzucił w syczące fale kawałek czarnego bazaltu. Kamień utonął.

— Bazalt nie będzie pływał, ale tu powinny być i lżejsze odmiany — powiedział. — Trzeba poszukać.

Odeszli od brzegu płyty i poszli po dymiących granitach. Udało im się od-

naleźć gatunek kamienia, którego rzucony kawałek pływał po ognistym morzu.

— Świetnie! — krzyknął Berdot. — Wyrąbimy duży kawał na tratwę.

— Johnny, patrz! — krzyknął raptem Connor. — Na prawo!

Nort szybko odwrócił się i zamierzył z przerażeniem. Przez dym zbliżyły się ku nim jakieś postacie.

To nie byli ludzie i nie mieli na sobie skafandrów ochronnych. To były potworne wytwory tego piekielnego księżycy. Istoty te były czworonożne i ciała ich świeciły dziwnym, metalowym blaskiem. Nie cielesnego nie mogłyby nawet przez chwilę istnieć w tym spopielającym gorącu.

W zwierzęcych głowach ziały otwarte paszcze z błyszczącymi zębami i szeroko rozstawione, nieruchome, kryształowe oczy. Przy każdym oddechu z paszcz potworów wylatywały płomienie.

Nort wiedział, że była to forma życia bezgranicznie daleka od organicznej ewolucji na wszystkich innych planetach, powstała w nieorganicznych warstwach bytu.

Connor krzyknął:

— To ogniwiki! Stary Lourelle ostrzegł przed nimi!

Nort rzucił się w stronę Berdota i Tenninga, którzy stali o kilkanaście jardów dalej.

— Za broń! — krzyknął. — One chcą

nas zaatakować! Mike, do tyłu!

Gwizdający strumień płomieni z pistoletów atomowych trafił w najbliższego ogniwika i odbił się od niego nie czyniąc mu żadnej szkody. Ładunki atomowe tylko podrapały metaliczne ciała.

— Na statek! — krzyknął Nort. — Rozerwaj nas na strzępy!

Odwrócili się i popędzili przez dym ku „Meteorowi“. Ogniwiki biegły za nimi, niezgrabnie podskakując na swoich czterech kończynach.

Nort posłyszał okrzyk rozpacz. Odwrócił się i zobaczył, że Tenning pozostał w tyle i ogniwiki dopadły do niego. Ich metalowe ciała naparły na ogrzyska i przewróciły go na ziemię.

Lecz Connor też był zbyt powolny. Dwa potwory szybko dopędzały go.

— Mike, uważaj! — krzyknął przemiłwie Nort i rzucił się w jego stronę.

Ogniwiki dopędziły Connora i skoczyły mu na plecy. Ostre szpony jednego z nich zaczęły o insulitowy skafander i rozerwały go.

Nort złapał kawałek bazaltu i rzucił się z pomocą. Connor upadł i dwa ogniwiki usiadły na nim.

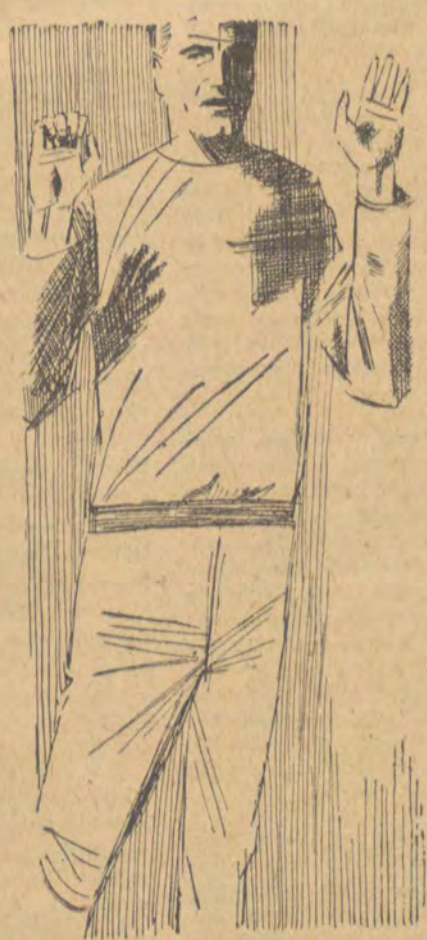
Nort z wściekłością walił kamieniem po obydwóch potworach. Odskończyły one przed ciosami, które widocznie więcej mogły uczynić im szkody, niż wyrządziły atomowe.

Nort chwycił Connora za pas i potykając się poszedł z nim przez dym. Z lewej strony ujrzał cztery ogniwiki, które znechęły się nad Tenningiem, rwąc jego skafander na drobne strzępy. Ciało Tenninga już poczerniało w straszliwym gorącu.

Berdot zniknął wśród dymu. Nort z gorączkową szybkością pędził za nim, ciągnąc zwiotczałe ciało Connora.

W dymie zarysował się masywny kadłub „Metora“. Piekielny błysk pioruna i kołysanie się skały omal nie wyrzuciły Norta. Dobrze jednak do służy, dostał się do środka i dopiero tutaj upadł na podłogę.

Podbiegli do niego Wayty i Dorak.



— Johnny, co z tobą? — krzyknął jednorożki olbrzym.

Nort, ciężko łapiąc powietrze, zerwał z głowy hełm.

— Pomóżcie... Mike'owi! — dusił się. — Ogniwiki przerwały mi skafander... Dorak i Filip Sydney już zdejmowali z Connora hełm i skafander. Irlandczyk

leżał nieruchomo, z purpurową, nalaną twarzą. Oddech jego był nierówny i rżący. Skóra na plecach zupełnie czarna od strasznego gorąca, które przedostało się przez rozzerwany skafander. Serce Norta zamrtało, gdy to zobaczył. Irlandczyk jęczał przy dotknięciu.

Wtem Connor otworzył oczy i z wysiłkiem spojrzął na pobliskie pochylone nad nim twarze. Słowa z trudem przechodzili przez jego usta.

— Nic z tego, Johnny... — wyszeptał. — Jestem gotów. Przeżyłem się... — Oczy jego zamknęły się do połowy... — Mnie... pić...

Nova Smith podbiegła z butelką brandy i przechyliła ją do jego ust. Ręka Connora oparła się o ramię dziewczyny. Na twarzy mignął daleki cień poprzedniego uśmiechu.

— Zawsze tak pragnąłem umrzeć — szepnął. — Z kielichem wina z rąk pięknej dziewczyny...

Alina Lourelle zaczęła szlochać. Filip Sydney usiłował ją pocieszyć, ale jego własna twarz była blada i przerażona. Nova spoglądała na Johna Norta ocierając łzy.

Jakieś drapanie o kadłub rakiety przerwało ciszę. A z ust Aliny wydarł się okrzyk przerażenia. Ujrzeni za iluminatorami straszliwe postacie ogniwików wściekle drapiących „Metora“ swoimi ostrymi szponami.

— A gdybym tak włączył cyklotrony i uderzył w nich z bocznych dysz... — zaproponował Filip Sydney.

Berdot skinął głową:

— Dobrze. Kells, idź z nim.

Po chwili rozległ się urywany ryk wybuchów rakietowych. Krótki błysk płomieni odrzucił ogniwików od statku. Umknęły, nikiąc w dymie.

W grobowym milczeniu Nort, Wayty i Dorak owinęli zwłoki Connora. Należeli insulitowe skafandry i wynieśli ciało ze statku. Z nimi wyszli Kells i Darm z karabinami gotowymi do strzału.

Usypali nad swoim martwym towarzyszem kamienny wzgórek. Następnie w tym samym grobowym milczeniu powrócili na statek.

— Uciekajmy z tej strasznej planety, dopóki nie wszyscy jeszcze zginęli! — płakała Alina. — Ona zabiła mego ojca, zabije wszystkich...

— Nie ruszamy się stąd, dopóki nie zdobędziemy levium! — odrzekł stółowym głosem Charles Berdot. Ręka jego spoczęła na rekołosci pistoletu atomowego.

— Tam, w kraterze na Płomiennym Oceanie, znajdują się złoża levium. Pójdziemy wszyscy, prócz kobiet i wariata. Nie chcę widzieć tutaj nikogo, kto mógłby opanować statek i odlecieć, pozostawiając mnie na tej przeklętej planecie. Nakładajcie skafandry.

Nort zaczął powoli ubierać się w skafander insulitowy i hełm. Za jego przykładem poszli Sydney, Wayty i Dorak.

Po wyjściu w dym Ognistego Księżyca, Nort rozejrział się. Nie było żadnego śladu ogniwików. Ruszyli w kierunku brzegu.

Na brzegu Płomiennego Oceanu Nort wypatrzył cały blok białego kamienia, tego samego, który mógł utrzymać się na płynnej lawie.

— Ten kamień jest dostatecznie duży, aby unieść nas wszystkich — zakomunikował Berdot. — Nort, pan z Dorakiem i Johnesem bierzcie się do wykuvania tratwy.

Wzieli się do pracy. Obiecałszy płaską płytę kamienia swoimi kilofami i oskardami, przesunęli ją do purpurowych ewczających fal lawy. Nawet przy małej sile krawiatycznej satelity, musieli przy tej pracy wyteńczyć wszystkie swoje siły.

— Ogniwiki! — rozległ się nagle zachrypnięty, pełny przerażenia głos Kellsa.

Cały dziesiątek potworów oddychających ogniem niezgrabnie zbliżył się ku nim od wschodu.



# WIENIEC

czy

# OSTROGI

Sam gest jest tu chyba ważniejszy niż pieniądze. To oczywiście znakomicie, że Wojewódzka Rada Narodowa wydobyla skądś dodatkowe osiemdziesiąt tysięcy złotych i przeznaczyła je na cele nauki i kultury, ale gdyby zamiast osiemdziesięciu znalazło się tylko czterdzieści tysięcy, albo też na odwrót — sto dwadzieścia; i stoly rzeczy by to przecież nie zmieniło.

Fakt pozostaje faktem — uchwałą Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łodzi z dnia 23 czerwca br. zostały ufundowane cztery nagrody Województwa Łódzkiego w dziedzinie nauki i sztuki, w wysokości dwudziestu tysięcy złotych każda. Dwie pierwsze są raczej tradycyjne, przyznawane przez wiele miast i przez wiele województw — są to nagrody w dziedzinie nauki i w dzie-

dzinie twórczości artystycznej; dwie następne — nagroda za społeczną działalność kulturalno-oświatową i nagroda w dziedzinie twórczości ludowej — stanowią, jak się wydaje, pewne konstruktywne novum. Mogą stać się silnym bodźcem, już po prostu materialnym i momentem dopingu — taki bodziec i taki doping, to rzeczy na pewno potrzebne.

Kłopoty, o ile się zaczyna, zaczyna się zapewne gdzie indziej. Komisja Nagród, acz w szczególności a obszerne regulamin zaopatrzone, będzie musiała w sumieniu swoim odpowiedzieć na pytanie podstawowe i stare jak wszystkie nagrody artystyczne — za co nagradzamy? Za całokształt, za dorobek lat

wielu, za osiągnięcia, zasługi i trudy niewątpliwe, czy też za młodość może, za rozwinięcie skrzydeł, za pierwszą książkę talent znamionującą, za pierwsze próby sukcesem uwieńczone?

W pierwszym wypadku nagroda stanowi coś w rodzaju wieńca laurowego, stanowi podsumowanie pewnego okresu pracy i wreszcie materialny dowód uznania. W drugim — jest niemalże stypendium, a jednocześnie aktem oficjalnego pasowania młodego talentu na talent dojrzały.

Słowem — wieńiec laurowy, czy ostrogi rycerskie? Wieniec, czy ostrogi, bo napewno nie i jedno i drugie, aczkolwiek takiej możliwości regulamin oczywiście nie wyklucza; doświadczenie poucza nas wszelako, że każda

Komisja Nagród w praktyce stosuje zawsze jedno tylko kryterium i to przeważnie kryterium pierwsze.

Czy tak będzie i tym razem — tego nie wiem.

Nie wiem również, czy Komisja Nagród skorzysta kiedykolwiek z maleńkiej furteczki, jednym jedynym słówkiem otworzonej, z której ja bym nie korzystał i — więcej — które to słówko ja bym osobiście przemazał. Słótko to brzmi: „urodzony”.

Bo kiedy słyszę, że nagrody mogą być przyznane mieszkańcom województwa łódzkiego, za pracę związaną z województwem, bądź za osiągnięcia wzbogacające ogólnopolski dorobek kulturalny i naukowy, osobom zamieszkałym poza terenem województwa, ale wyłącznie

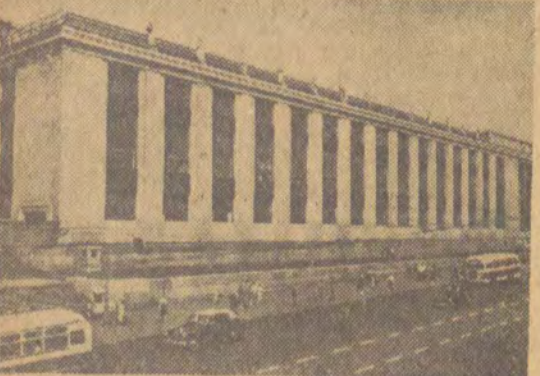
za prace z województwem związane i wreszcie osobom przez dłuższy czas na terenie województwa mieszkającym bądź działającym — wówczas mówię: zgoda.

Ale kiedy słyszę jeszcze, że nagrody mogą być przyznane również osobom li tylko na terenie pięknego naszego województwa urodzonym — wówczas dziwię się smutnie i pytam: a dlaczego? Dalibóg, z wielu rodzajów zasług, zasługa urodzenia wydaje mi się bowiem najmniej przekonująco, Gorzej — nie modna.

...Nie zmienia to przecież faktu, że z ufundowania nagród cieszymy się wszyscy — nawet my, „śle urodzeni”.

J.P.

## „Do Moskwy wskoczyłem jak do rozpędzonego parowozu”



Na zdjęciach od góry: Kotelnikowskie wybrzeże, pomnik Lomonosowa przed uniwersytetem i biblioteka im. Lenina



Plac Czerwony

JANUSZ KŁOSIŃSKI

Korespondencja własna

## ŁYK OPTYMIZMU

Międzynarodowe seminarium reżyserskie, na które byłem zaproszony przez Wszechrosyjski Towarzystwo Teatralne, pracowałem już od dziesięciu dni. Kiedy, wreszcie otrzymawszy paszport przyjechałem resztką sił, praca toczyła się na pełnych obrotach. Szybko zajęłem swoje miejsce, i zacząłem oglądać Moskwę.

Maszyna napędowa życia funkcjonuje tu w pełni. Zgiełk, hałas, tłumy. Jezdnia pędzą sznury samochodów. Milicja drogowa, rozmieszczona gęsto, zachęca do wzmożenia tempa; przedźle, przedźle, uważaj i uciekaj! — bo za tobą setki wozów! Ruch jak w Paryżu, ale jakże inny. W Paryżu przeważają samochody osobowe, tutaj — ciężarówki — z cegłami, młkiem, drzewem, ziemią; pędzą nieprzerwanym sznurkiem — szare — szybkie — groźne. Między nimi uwijają się autobusy, trolejbusy, zwinne Wolgi, kolorowe Moskiewiczki i błyszczące, czarne Zisy. Tutaj buduje się. Buduje z taką pasją, jakby ci ludzie dopiero wczoraj przybyli na tę ziemię — surową i nową i rzucili się do jej zagospodarowania. Porozmieszczały się gdziekolwiek, w prowizorycznych siedziskach; w domach przebywają rzadko; ich dom dopiero buduje się. Maszyny nocują na polach, drogach, placach, budowal. Krótka przerwa nocka, i rankiem cała ta olbrzymia armia rusza do ataku. Człowiek oddziały wspinają się po nowych piętrach bloków, zdobywają nowe kilometry drog, ryją pod ziemią nowe kopalnie — a całe zaplecze milionami motorów, rozpoczyna wyścig z czasem o terminowe dostawy materiałów i ludzi.

Obsługująca nas, w popularnej tutaj „Stółcówce” kel-

nerka, panienska z poczty, kasjerka z metro, której ręce tańczą, między okienkiem, rulonem biletów i kasą z fanfastyką szybkością, szofer-konduktor w autobusie samoobsługowym, babcią raczącą nas kwasem chlebowym, wszyscy mają tu bardzo poważny stosunek do swojej pracy. Można im ze spokojem powierzyć swoje sprawy; są niezwykle ambitni: powiedziec, że źle pracują — to najdotkliwszy zarzut. Zaatakowanej stają się zapalczywi, nieublagani i nieustępliwi w dochodzeniu swojej, może nie zawsze słusznej racji. Lubią mówić o swojej pracy, lubią ją demonstrować, chcą żeby była zauważana i szanowana.

Radziecki człowiek, człowiek wyrwany z wiekowego odrętwienia rozsmakował się w budowaniu swojego jutra i rozpoczął swój wielki dzień. I oto tysiącami kilometrów mkną punktualnie pociągi, z lotnisk odlatują setki samolotów. Luksusowy Tu-104 właśnie wiezie nas do Leningradu. Odlot Moskwa 15.00. — Smaczny podwieczerek złożony z owoców, stolicy i kawy — i 15,45 Leningrad. 700 km.

Trzy razy w ciągu dnia przebywają tę trasę samoloty. Z nami jedzie robotnik z Kamczatki na 8-dniowy urlop, oficer na dwa dni wolne do rodziców, jakiś Gruzin do córki mieszkającej na północy. Atmosfera w samolocie wesola, wszyscy żartują, rozmowa ogólna. Trochę egzotyyczny jest dla mnie widok tego tłumy radzieckiego rozgadanego w samolocie, wypełniającego wielkie magazyny — stacje metra, szerokie ulice Moskwy, ciche skwery Leningradu, tłumy zabraczo-

wanego, nieraz zmęczonego, ubranego jakoś niewielkomięjsko, a jednak nieprzynębiającego. Wprost przeciwnie, wszędzie czuje się, że ci ludzie wierzą w swoją przyszłość — znają sens życia. Mniej tutaj uciech, zabaw, rozkrzyżowanej wesołości niż w Paryżu, a jakoś w sumie weselej. Tu po prostu nie ma czasu na pesymizm. Tutaj nie trzeba zakrzykiwać szaleńczą radością głębokiego, tragicznego smutku „starego świata”. Tutaj buduje się nowe życie. Może to życie jest proste, nieskomplikowane, dla kogoś może mniej ciekawiejsze, mniej zróżnicowane, ale bujne, czerstwe, zdrowe, potężne i najprawdziwsze. Kiedy chodziłem ulicami wspaniałego Paryża dręczyły mnie niepokojące natyry erotycznej. Kiedy dreptałem rażno wśród tłumy arteriami krzepkiej Moskwy musiałem się pilnować żeby od czasu do czasu nie ryknąć sobie hać całe gardło: hurra! W obu wypadkach nastroj za silny jak na moje możliwości.

I na koniec kilka słów o teatrze. Przede wszystkim rzucała mi się w oczy jego funkcja społeczna. Teatr w Związku Radzieckim jest znakomicie zorganizowany. Sieć teatrów jest olbrzymia, rola również: wychowanie nowego człowieka. W swojej twórczej pracy teatr nie protestuje grymasami dziwności i metodą „bylelnaczej” przeciwko gustom widza wychowanego na sztuce mieszczańskiej, ale razem z tym widzem szuka swojej naprawde nowej drogi. I dlatego,

wyda mi się, że nie można zestawiać teatru radzieckiego w oderwaniu od całokształtu życia tego kraju, z teatrem zachodnim. Na pewno ten ostatni ma większe osiągnięcia formalne, nieraz może nawet treściowe. Znaczenie obu teatrów dla życia tych światów jest nieporównywalne, naturalnie z olbrzymią przewagą dla wschodu.

Teatr radziecki szuka swojej trudnej drogi z całą dynamicznością tego młodego państwa. W uporczywym wysiłku, krok za krokiem idzie w zamierzonym kierunku. Gromadzi potężne rezerwy w postaci znakomitych aktorów, reżyserów, bogatej świetnej literatury teatralnej i coraz obfitszej dramaturgii współczesnej. Przypomina mi ten teatr samolot pracujący na pełnych obrotach na chwilę przed startem.

Wracałem z Moskwy z lekkim niepokojem, jak po tych rozruchanych dwu tygodniach znajduję moją ojczyznę. Czy nie wyda mi się smutna i biedna. Ale kiedy miałem pierwsze ukwiecone i wesołe polskie stacyjki, pieczołowicie zagospodarowane przytorowe skrawki ziemi, wydało mi się, że po pobycie na olbrzymim, potężnym placu budowy, pełnym rozgardiaszu, wchodząc do chłodnej, ukwieconej, skromnej izby paradnej, żeby się napić chłodnego mleka.

Pomyślałem sobie: przyjemnie tutaj, byłoby tylko nie za długo odpoczywać w tym miłym cieniu.

# 15 lat



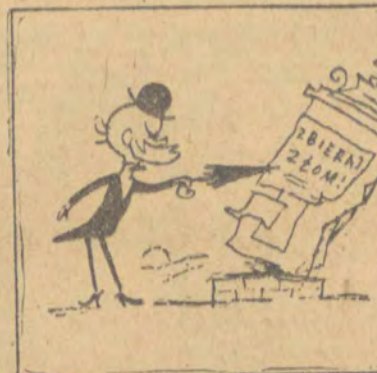
## Humoru i satyry polskiej



Sznyceł po wiedeńsku  
rys. Eryk Lipiński



— Czemu to pan sprzedaje książki, panie Auguste?  
— Podobno książki, w których występuje więcej niż 50 osób, mają być znacjonalizowane.  
rys. Karol Ferster (Charlie)



rys. Zbigniew Lengren



Remanent

rys. Kuba



rys. Maja Berezowska

### KAZIMIERZ TETMAJER

#### Zuzanna

Zuzanna obnażyła się  
I weszła do kąpieli,  
A siwowłosi starcy dwaj  
Za pniami drzew stanęli.  
I napawali oczy swe  
Wdziękami cnej Zuzanny

Które lubieżnie pieścił nurt,  
Nurt przezroczyisty, szklanny.  
Zuzannie, gdy ujrzała ich,  
Zal zdjął rumieńce z twarzy.  
Nurt bowiem przezroczyisty był,  
A starcy bardzo starzy.

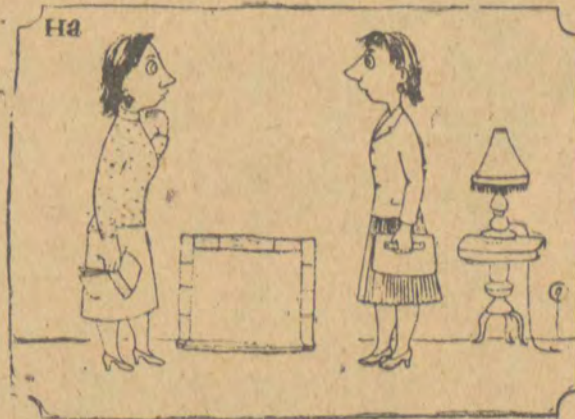


Bywalec

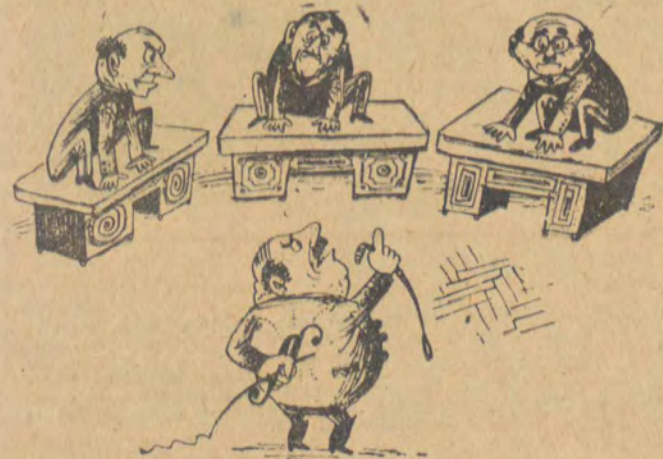
rys. Ibis-Grafiowski



— Czy pan wie, co by mi groziło gdybym o 5,73 zł przekroczył budżet remontowy?  
rys. Szymon Kobylński



— Co robią lisy, żeby mieć młode?  
— To samo, co robią młode, żeby mieć lisy.  
rys. Ha-Ga



— Kto z panów powiedział, że u nas spraw nie załatwia się kolegiąlnie?  
rys. Karol Baraniecki



Jeszcze lepsze  
rysunki  
znajdziecie  
w roczniku  
„KARUZELI”

— Pan dyrektor mnie wzywał?  
rys. Jerzy Flisak



Towarzysz pancerny

rys. Bronisław Linka

# KONKURS PLAŻOWY



Upał, co? I dystrybucja napojowo-orzeźwiająca też w stadium porażenia słonecznego. Każdy Czytelnik może więc odszukać butelkę oranżady na powyższej, konkursowej plaży. Oprócz tej butelki istnieje także sposobność zdobycia nagrody w postaci autentycznego syfonu z plastikową główką. Nie mówiąc już o satysfakcji, taką bowiem m. in. metodą określa się w psychotechnice stopień inteligencji...

Redaguje Zespół :: Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka”  
 Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79 :: Warunki prenumeraty: miesięcznie 4,- zł, kwartalnie 12,- zł :: Redakcja nie zamawia rekwizytów, nie zwraca :: Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” - z zaznaczeniem na „Odgłosy” :: Druk RSW „Prasa” - Łódź, Żwirki 17 Zam. 2188. VII. 5-1